

BIBLIOTEKA
WIEJSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU

ziemia

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY





ZMIANY KLIMATU



Autor artykułu, geolog z Krakowa, lat 27. Zajmuje się speleologią. Uczestnik wypraw badawczych do jaskiń Bałkanu i Alp francuskich. Przetłumaczył na język polski H. Tazieffa „W jaskiniach Pierre St. Martin”.

RAFAŁ UNRUG

Z wiedzą o klimacie rzecz ma się podobnie jak z medycyną: zarówno choroby jak i klimat niefortunny dają się we znaki każdemu. Każdy przeto chętnie wypowiada zdanie w tej materii, a nawet rad przytacza własne teorie zmian klimatycznych. Niegdyś niemalą rolę odgrywać tu miała... kolej żelazna i jej „trujące wyziewy”. Dziś wszystkie podejrzenia ściągnęła na siebie bomba wodorowa i plamy na słońcu. Poza tym poważna ilość starszych ludzi żywi przekonanie, że klimat „pogorszył się” znacznie w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat.

W rzeczywistości, by zaobserwować jakies trwałe zmiany klimatu trzeba systematycznych obserwacji, w ciągu dziesiątków i setek lat. Klimatologia wciąż dostarcza uczonym nowych zagadek. Niniejszy artykuł omawia niektóre czynniki wpływające na kształtowanie się „aury” europejskiej.

Problem zmian klimatu Ziemi jest zagadnieniem trudnym i złożonym. Zmiany te rozpatrywane były z punktu widzenia astronomii, fizyki, geofizyki, geologii i klimatologii; stworzono dziesiątki teorii tłumaczących ich przyczyny. W miarę powiększania się ilości obserwacji jedne teorie dezaktualizowały się, a na ich miejsce powstawały inne. Zdarza się jednak, że pewne nieaktualne już teorie, które w swoim czasie zdobyły sobie popularność, są jeszcze dzisiaj szeroko rozpowszechnione. Celem niniejszego artykułu jest przedstawienie nowoczesnych poglądów na przyczyny zmian klimatu Ziemi.

Klucz do przeszłości

Odtwarzanie klimatów panujących na Ziemi w minionych epokach geologicznych nie jest sprawą prostą. Dział geologii historycznej zajmujący się tym problemem nosi nazwę paleoklimatologii. Nauka ta posługuje się w swoich badaniach metodą opartą na tak zwanej zasadzie aktualizmu, szeroko stosowanej i w innych działach nauk geologicznych. Zasada aktualizmu stwierdza, że przyczyny i skutki procesów geologicznych zachodzących w przeszłości geologicznej Ziemi były podobne do obecnych.

Zastosowanie zasady aktualizmu dla celów paleoklimatologii może wyglądać na przykład w ten sposób: geologom znany jest fakt, że współczesne lodowce wytwarzają charakterystyczne osady tzw. moreny, składające się z bloków skalnych tkwiących w piaszczysto-gliniastej masie.

Jeżeli wśród starych osadów znajdziemy utwory analogiczne do współczesnych moren możemy mieć pewność, że powstały one również wskutek działalności lodowców.

Innym typem wskaźników klimatu są znajdowane w osadach szczątki organizmów, których środowisko życiowe i wymagania klimatyczne znamy. Wiadomo na przykład, że rafy koralowe powstają tylko w tych morzach, w których średnia temperatura wody nie spada poniżej 21°C. Znalezienie kopalnych raf koralowych jest więc dowodem istnienia w czasie ich powstawania klimatu gorącego.

Wskaźniki geologiczne nie mogą określić klimatu równie dokładnie jak współczesne pomiary meteorologiczne, lecz w przeciwieństwie do dzisiejszych badań obejmujących w skali historii Ziemi bardzo krótki odcinek czasu, reprezentują one działającą w geologicznej skali czasu sumę czynników składających się na całość klimatu. Spotykając osady lodowcowe nie potrafimy powiedzieć czy utworzyły się one w temperaturze -2°, czy -20°. Możemy natomiast mieć pewność, że do utworzenia się tych osadów konieczny był długi okres panowania zimnego klimatu glacialnego.

Dawne klimaty

Od chwili ogłoszenia przez angielskiego uczonego Lyell'a w roku 1830 zasady aktualizmu zebrano olbrzymią ilość obserwacji paleoklimatologicznych. Na tej podstawie zdołano odtworzyć w ogólnych zarysach przebieg wielkich zmian klimatu Ziemi.

W ciągu liczącego kilkaset milionów lat okresu historii naszej planety, dostępnego bardziej szczegółowym badaniom geologicznym, dominował klimat ciepły i wyrównany. Strefowość klimatów, wynikająca z różnych ilości promieniowania słonecznego otrzymywanego przez powierzchnię Ziemi w różnych szerokościach geograficznych istniała

zawsze, lecz różnice między poszczególnymi strefami były nieznaczne. Obszary podbiegunowe miały klimat zbliżony do klimatu dziesiętnych stref umiarkowanych. Morza były ciepłe, ciepłolubne organizmy żyły daleko na północy, a na lądach bujna szata roślinności sięgała w okolice arktyczne, tam, gdzie dzisiaj rozpościera się tundra.

Panowanie ciepłego i wyrównanego klimatu przerywały periodycznie stosunkowo krótkie okresy znacznego ochłodzenia, z których pochodzą ślady zlodowaceń pokrywających olbrzymie przestrzenie. Były to jednocześnie okresy silnych kontrastów klimatycznych. Wielkie zlodowacenia, stanowiące prawdziwie katastrofalne zaburzenia klimatu, miały miejsce wielokrotnie w historii Ziemi. Znane są ślady czterech ogromnych zlodowaceń, w czasie których lody pokrywały rozległe obszary, oraz co najmniej dwóch mniejszych z lokalnym tylko rozwojem lodowców.

W czasie zlodowaceń klimat nie był jednolicie zimny, lecz wykazywał znaczne wahania. Najłatwiej przedstawić to na przykładzie ostatniego zlodowacenia, które jako zdarzenie w geologicznej skali czasu zupełnie świeżej daty, zostało najdokładniej poznane.

ciąg dalszy na str. 4



ziemia

RAFAŁ UNRUG	Zmiany klimatu	2
TADEUSZ ŻYCHIEWICZ	Przemysł w minionych wiekach	6
MARIA GRODZICKA	Najstarsze działo polskie	8
DAWNE POCZTY		9
JANUSZ BOGDANOWSKI	Dwór na pustkowiu	10
CZESŁAW MACIEJEWSKI	Kraina weekendu	12
STANISŁAW BŁASZCZYK	Wielkopolskie obrazki	13
WACŁAW NOWAK	Malowidła	16
KAZIMIERZ BIELENIN	Zatopione czółno	18
CO PISZĄ INNI		20
DAWNE DRUKI		21
ORLI LOT		22
SKARBCZYK NUMIZMATYCZNY		25
KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ		26
KRONIKA KRAJOZNAWCZA		29
ZBIGNIEW DANIELAK	Malowane godła	30
ZBIGNIEW WÓJCIK	Spękane błoto	31

NASZA OKŁADKA

przedstawia chłopców bawiących się u stóp murów starej kamienicy. Reportaż fotograficzny o ślepych ścianach kamienic znajduje się wewnątrz numeru. Fot. Zb. Łagocki



ziemia

— ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, sekr. red. — MACIEJ KUCZYŃSKI, red. działów — LESZEK DZIEGIEL i MARIAN KORNECKI, red. techniczny — ZYGMUNT STRYCHAŃSKI. Adres redakcji — Kraków, Basztowa 6, tel. 541-44. Wydawca: POLSKIE TOWARZYSTWO TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZE, Realizacja: PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Zam. Nr 143/58, DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE.

Liczby na mapie oznaczają numery stron, na których piszemy o danej okolicy



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100024) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych.

Cena prenumeraty: kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 48, nr konta PKO 1-6-100024. Cena tej prenumera-

ty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPZEDNIE NUMERY ZIEMI

można nabywać we Wzorcowni Państwowego Wydawnictwa Naukowego w Warszawie, Miodowa 10, a także w sklepach prasy antykwarycznej „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie pod tymi adresami lub w centrali „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej

ROCZNIKI ZIEMI

za rok 1957 można nabywać w redakcji, Kraków, Basztowa 6, lub zamawiać listownie pod tym adresem. Wysyłka w kolejności zgłoszeń za pobraniem pocztowym. Cena rocznika ozdobnie oprawnego 100 zł + porto, nieopranego — 60 zł + porto

ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii — £ 0,2,3, rocznie 1,8,9; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — £ A 0,2,7, rocznie 1. 10,7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miastkich i gorodskich Otdielach Sojuzpiczali” NRD — Zeitungsvet-

triebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. 1, Ausl. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupectvi Karvina II/Doly tr. Cslow. Armady, 3) PZKO C. Tesin Gotvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd. Melbourne; Israel — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hatzair) Ltd. Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Haifilepac”, Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Littéraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleyne, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Bellevue Drive, Falls Church 1, Virginia.



Zlodowacenie to obejmujące okres czasu od 520 tysięcy lat do 18 tysięcy lat przed naszą erą składało się z czterech okresów wielkiego rozprzestrzenienia pokryw lodowych, zwanych glacjałami. Przedzielały je cieplejsze okresy interglacjalne, w czasie których lody zmniejszały znacznie swój zasięg, a być może niekiedy znikwały zupełnie.

Na terenie Polski niezbyt wyraźne i pewne ślady osadów pierwszego glacjału znamy w okolicach Szczecina. Drugi z kolei glacjał, zwany Krakowskim objął niemal cały obszar naszego kraju. Gruba pokrywa lodowa sięgała wówczas aż po Karpaty i Sudety. Następny

z kolei glacjał Środkowo-Polski miał już mniejsze rozprzestrzenienie. Lody objęły wówczas Polskę środkową zatrzymując się na Górach Świętokrzyskich, dotarły jednak aż na Górny Śląsk.

Wreszcie ostatni glacjał, zwany Bałtyckim, objął zasięgiem Polskę północną.

Przyczyny zlodowaceń

Współczesne poglądy na przyczyny zlodowaceń oparte są na pracach angielskiego klimatologa C.E.P. Brooks. Brooks wystąpił z twierdzeniem, że rozprzestrzenienie się pokrywy lodowej jest w pewnych warunkach samoprzyspieszającym się procesem. Aby zrozumieć przebieg tego zjawiska wyobraźmy sobie, że w okolicy bieguna Ziemi rozciąga się otwarte morze wolne od lodów. Przyjmijmy, że temperatura na biegunie wynosi 0°C i wzrasta równo-

miernie ku południowi. Wyobraźmy sobie teraz, że następuje niewielkie ochłodzenie i temperatura na biegunie spada nieco poniżej punktu zamarzania wody. W najbliższej okolicy bieguna morze pokryje się wskutek tego lodem. Lód, a zwłaszcza lód pokryty śniegiem odbija znaczną część promieniowania słonecznego

zrównoważone przez następujący ku południowi wzrost temperatury. Obszar pokryty lodem będzie jednak wtedy znacznie większy niż wynikałoby to z pierwotnego spadku temperatury, który zapoczątkował zlodowacenie.

Powierzchnia łądu w zimie działa oziębiająco analogicznie do działania



i w przeciwieństwie do wody nie dopuszcza do wyrównywania się temperatur drogą konwekcji. Wskutek tego powierzchnia lodu jest chłodniejsza niż powierzchnia otaczającego morza i działa oziębiająco na swoje otoczenie. Przyspiesza to narastanie pokrywy lodowej, która rozprzestrzenia się aż do chwili, gdy jej oziębiające działanie zostanie

powierzchni pokrytej lodem. Nadto z obszarami lądowymi, a także z rozległymi obszarami zamrożonego morza związane są strefy wysokiego ciśnienia atmosferycznego. Wskutek tego wiatry od łądu, względnie od lodów, uniemożliwiają wyrównanie temperatury przez napływ powietrza z okolic cieplejszych. Działanie oziębiające wysoko wzniesionych łądów jest nawet silniejsze od działania lodów morskich. Zjawisko to ilustruje powszechnie znany fakt, że „biegun zimna“ leży w północno-wschodniej Syberii, na terenie ogromnego łądu azjatyckiego, a nie — jak można by tego oczekiwać — na biegunie.

W pobliżu równika wpływ łądu na temperaturę jest przeciwny. Skąły, mające mniejsze ciepło właściwe niż woda nagrzewają się silniej pod wpływem promieniowania słonecznego niż powierzchnia mórz, których temperaturę nadto wyrównują prądy. W ten sposób rozległe łądy powodują zaakcentowanie różnic kli-



— — — — — ZASIĘG ZLADOWACENIA
BAŁTYCKIEGO
..... ZASIĘG ZLADOWACENIA
KRAKOWSKIEGO
♦♦♦♦♦ ZASIĘG ZLADOWACENIA
ŚRODKOWO-POLSKIEGO

matycznych w różnych szerokościach geograficznych.

Z powyższych rozważań wynika, że istnienie warunków sprzyjających lub nie sprzyjających zlodowaceniowi zależy od czynników geograficznych: rozkładu lądów i mórz oraz wysokości kontynentów.

Kolejne etapy historii Ziemi znaczone są następującymi co kilkaset milionów lat okresami wielkiego nasilenia ruchów górotwórczych. W wyniku działania potężnych sił drzemiących we wnętrzu Ziemi powstają wówczas rozległe i wysoko wzniesione kontynenty poprzecinane wyniosłymi łańcuchami górskimi. Po ustaniu ruchów górotwórczych dominującym procesem geologicznym staje się niszczenie gór i lądów. Łańcuchy górskie rozpadają się w piarg, rzeki znoszą do mórz ogromne ilości mułu, piasku i żwiru.

swobodnej cyrkulacji powietrza, a niewielkie rozmiary kontynentów i brak mórz zamkniętych umożliwia swobodne krążenie prądów morskich. Dzięki temu ciepło z obszarów równikowych przenoszone jest w okolice biegunów.

Natomiast w okresie panowania lądów łańcuchy górskie stanowią bariery dla cyrkulacji powietrza, a rozległe kontynenty nie pozwalają na wyrównanie temperatury morza przez prądy. Łądy położone w po-

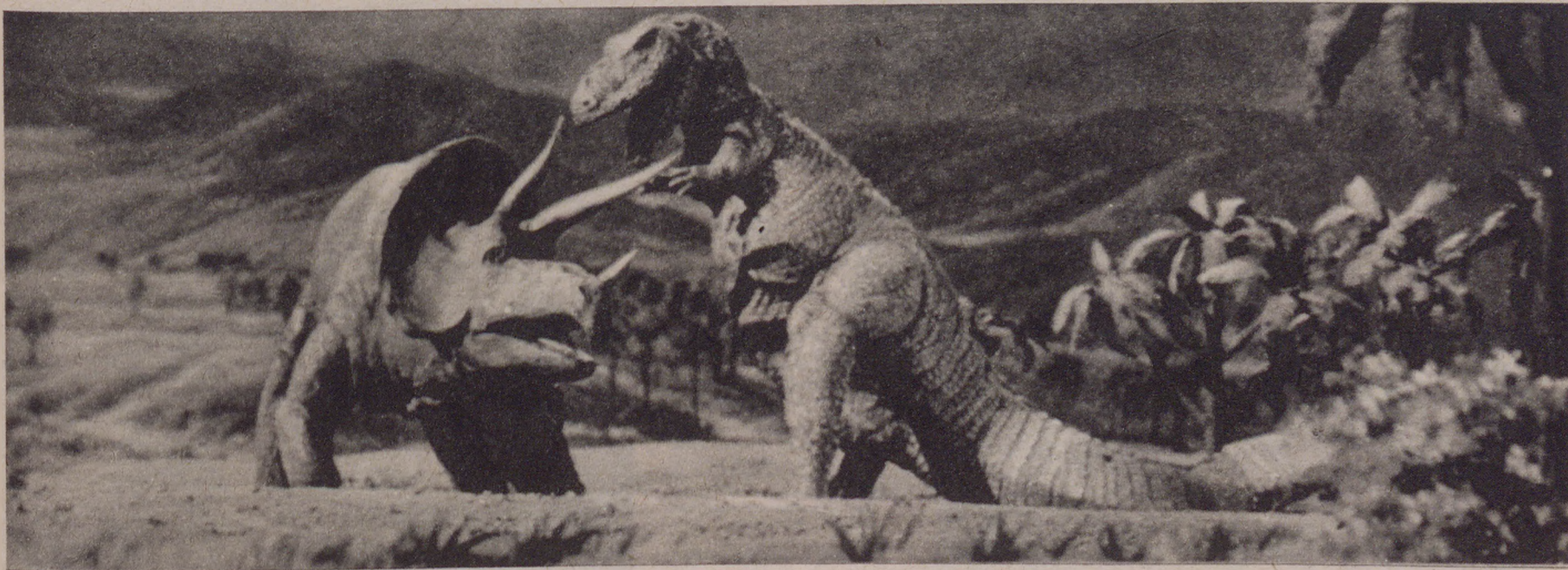


blizu biegunów obniżają temperaturę, a ruchy górotwórcze dźwigają znaczne obszary powyżej linii wiecznego śniegu. Powstają więc warunki sprzyjające zlodowaceniowi. Istotnie, wszystkie wielkie zlodowacenia Ziemi następowały zawsze po okresach



zarówno metodami geologicznymi jak i dzięki zapisom w starych kronikach, a także na podstawie prowadzonych od około 300 lat obserwacji meteorologicznych przy pomocy instrumentów. Takie krótkotrwałe oscylacje klimatu spowodowały

kwadratowych. Maksimum zlodowacenia mamy już prawdopodobnie poza sobą. Niemniej jednak w okresie od 5 000 do 3 000 lat przed naszą erą istniało optimum klimatyczne, w którym średnia temperatura roku była nieco wyższa niż obecnie. Po



Następują wówczas wielkie zalewy morskie. Powierzchnia lądów zmniejsza się znacznie, z kontynentów pozostają wielkie niskie wyspy połączane morzami łączącymi się swobodnie w jeden światowy ocean. Jest to długotrwały okres panowania morza, po którym następuje nowy paroksyzm ruchów górotwórczych i okres panowania lądów.

Dominujące typy klimatu zajmują ściśle określoną pozycję w tym cyklu przemian oblicza Ziemi. Z okresami panowania mórz związane są klimaty wyrównane i ciepłe, a z okresami panowania lądów klimaty silnie zróżnicowane oraz zlodowacenia. W okresie panowania morza niskie łądy nie stanowią przeszkód dla

wielkiego nasilenia ruchów górotwórczych.

Przyczyny pojawiania się w historii Ziemi epok lodowych są więc bezpośrednio związane z rozwojem struktury skorupy ziemskiej. Mniejsze zmiany klimatyczne należy natomiast wyjaśniać na innej drodze.

Następstwo glacjałów i interglacjałów podczas epoki lodowej jest prawdopodobnie spowodowane między innymi okresowymi zmianami elementów obiegu Ziemi dookoła słońca. Czas trwania tych wahań klimatycznych wynosi średnio po kilkadziesiąt tysięcy lat.

W czasie ostatnich kilku lat następowały jeszcze drobniejsze zmiany klimatu. Zostały one wykryte

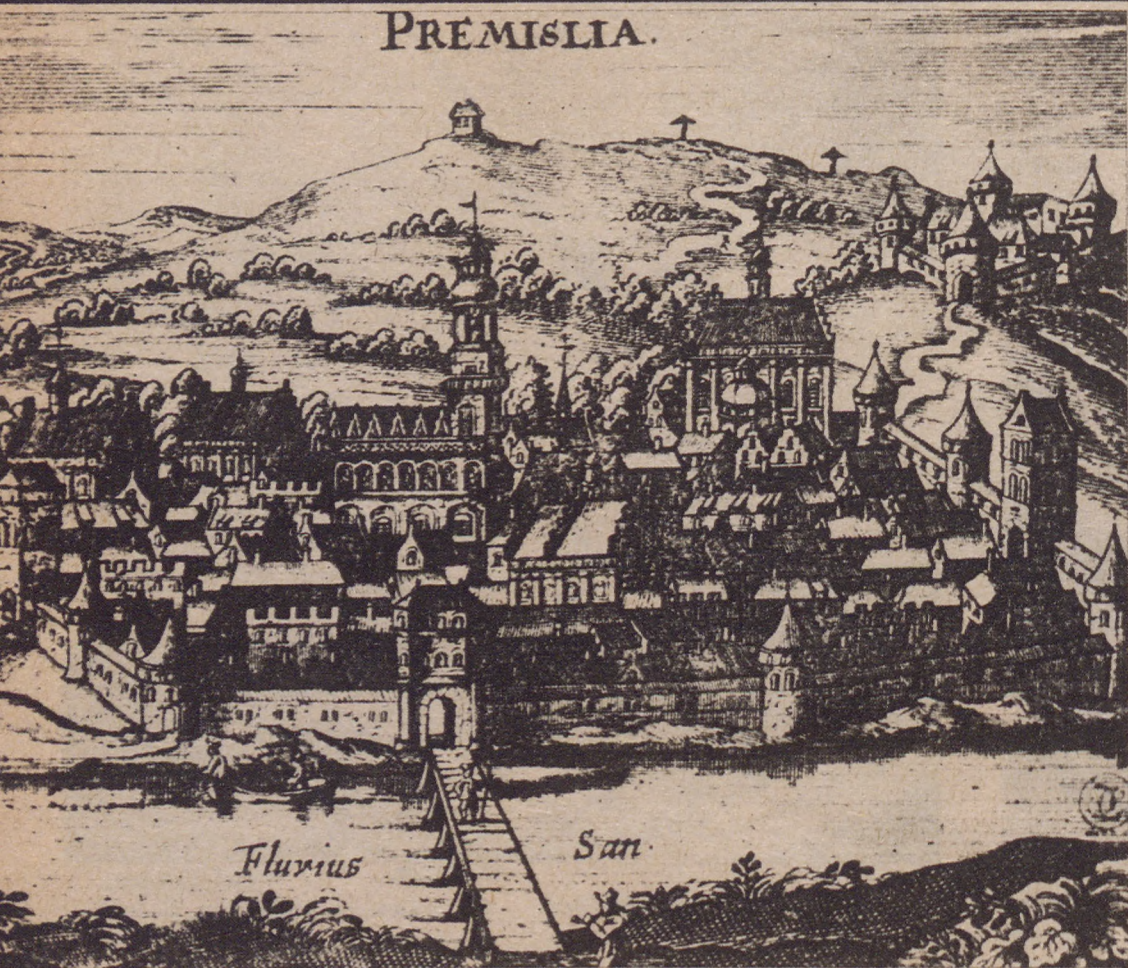
wane są w głównej mierze zmianami intensywności promieniowania słonecznego. Drobne zmiany klimatyczne związane między innymi z następującymi co jedenaście lat okresami pojawiania się zwiększonej ilości plam słonecznych.

Nasze perspektywy

W obecnej chwili na Ziemi trwa okres panowania lądów, który nastąpił po zakończonych niedawno alpejskich ruchach górotwórczych. Epoka lodowa natomiast nie skończyła się jeszcze. Do dziś dnia pokrywy lodowe zajmują na Ziemi obszar około 15 milionów kilometrów

tym okresie nastąpił szereg wahań klimatycznych polegających głównie na zmianach ilości opadów i następstwie okresów wilgotnych i suchych. W okresie od 1600 r. do 1850 roku naszej ery trwało stosunkowo znaczne ochłodzenie. Na całym świecie lodowce powiększyły wówczas znacznie swoje rozmiary, niszcząc nawet wysoko położone osady w Alpach. Od roku 1850 obserwuje się stały wzrost temperatury zimy, przerwany nagłym krótkotrwałym ochłodzeniem około roku 1940. Tendencja do ocieplenia utrzyma się jeszcze zapewne w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat.

KONIEC



to jeden z najstarszych widoków Przemyśla — miedzioryt z dzieła A. Cellariusza „Koninckrijk Poolen en Toebekoorende Landen”, wydane w Amsterdamie w r. 1660. Nie jest to wizerunek oryginalny, lecz dość swobodna — a mniej od pierwowzoru znana — replika wcześniejszego miedziorytu z dzieła J. Brauna „Urbium Praecipuarum Mundi”, Kolonia, pocz. w. XVII.

Miedzioryt oddaje dość wiernie sylwetę renesansowego Przemyśla, jest o tyle bardzo cenny, że notuje pierwotny wygląd nieistniejących dziś, względnie gruntownie przebudowanych zabytków. Ale nie trzeba zbyt wierzyc miedziorytnikowi; w wielu istotnych miejscach więcej dbał o wymyśloną harmonię obrazu, aniżeli o obiektywną prawdę.

Powyżej na prawo i obok:

W roku Pańskim 1657 „Jerzy Rakoczy, Transilwanii Xiążę, Wódz Dzikiego Narodu, Ciężko miasto y całą przyległość uciemniał”. Zaczyn z bramy miejskiej wyszła procesja, niosąc relikwie Św. Wincentego; nieprzyjacieli — jako zeznaje Imię Pan Andrzeja Maksymilian z Pleszowic Fredro, Kasztelan Lwowski — „jako takim piorunem przestraszeni byli y uciekać musieli”. Moment ten uwieczniono na obrazie wotywnym, ufundowanym w r. 1666 przez Marcina Wachowicza, który „ciężko bolejąc na oczy, skoro tylko ofiarował się do św. Wincentego — zaraz ozdrowiał”. No, a przy okazji uwieczniono także widok sporej części ówczesnego Przemyśla.

Reprodukuje tu dwa fragmenty z owego obrazu wotywnego. Na pierwszej z przedstawionych ilustracji widzimy inkastelowany kościół i klasztor oo reformatów — zaś na drugiej spory wycinek miasta z Bramą Wodną, pływającym młynem i murami obronnymi na pierwszym planie. Ilustracja to bardzo cenna, notując m. i. wygląd nieistniejącej już dziś cerkwi katedralnej i wielu innych zabytków. Specjalnie interesujący jest widok kościoła karmelitańskiego (przejętego później przez greko-katolików) — który na rysunku opatrzony jest kopułą na bębnie; dziś zarówno kopuła jak i bęben są drewniane — i niektórzy historycy twierdzili, że pierwotnie kościół karmelitański kopuły nie posiadał. Okazuje się, że jednak było inaczej.



oto jedno z bardzo niewielu przedstawień renesansowego ratusza przemyskiego. Jest to pochodząca z r. 1773 polichromia w prawej nawie kościoła franciszkańskiego w Przemyślu. Umieszczono ją tu dla upamiętnienia męczeńskiej śmierci pięciu franciszkanów, zamordowanych w czasie najazdu hordy wołoskiej Stefana.

Ratusz przemyski, wzniesiony ok. r. 1590 — był jednym z najwspanialszych renesansowych ratuszy w Polsce. Rozebrały go władze austriackie w latach dziewięćdziesiątych wieku XVIII.

Postępujący upadek Przemyśla — podobnie, jak i innych miast polskich — datuje się już od połowy w. XVIII do odebrania mu uprawnień miejskich; Przemyśl w roku 1778 został sprzedany przez rząd austriacki hrabiemu I. Cetnerowi. Rychło jednak — w związku z oceną strategicznych możliwości i projektami budowy twierdzy — rząd odkupił Przemyśl z rąk prywatnych i wskrzesił autonomię miejską. W roku 1859 wybudowano tu pierwszą linię kolejową — i most przez San stał się sensacją miasta. Uwiecznił go też w reprodukowanym przez nas drzeworycie A. Karmański. Na ilustracji widzimy także ówczesne miasto z istniejącymi jeszcze podówczas — a dziś zburzonymi — murami zamku.



Zamkowe mury nie są już widoczne na ilustracji Napoleona Ordy z r. 1882, gdzie na górze zamkowej — podobnie, jak i dziś — dominują już tylko dwie ocalałe wieże zamkowe.

A oto litografia F. Brzozowskiego z r. 1883, przedstawiająca Przemysł od strony Zasania. Był czas, gdy miasto przeżywało okres niesłychanej „prosperity”, jako jedna z głównych twierdz austriackich na wschodzie, siedziba 100-tysięcznego garnizonu wojskowego, wielu urzędów i rozwijającego się przemysłu. W ciągu trzydziestu lat — między r. 1870 i 1880 — ludność wzrosła z 9.500 do 20.667 mieszkańców.



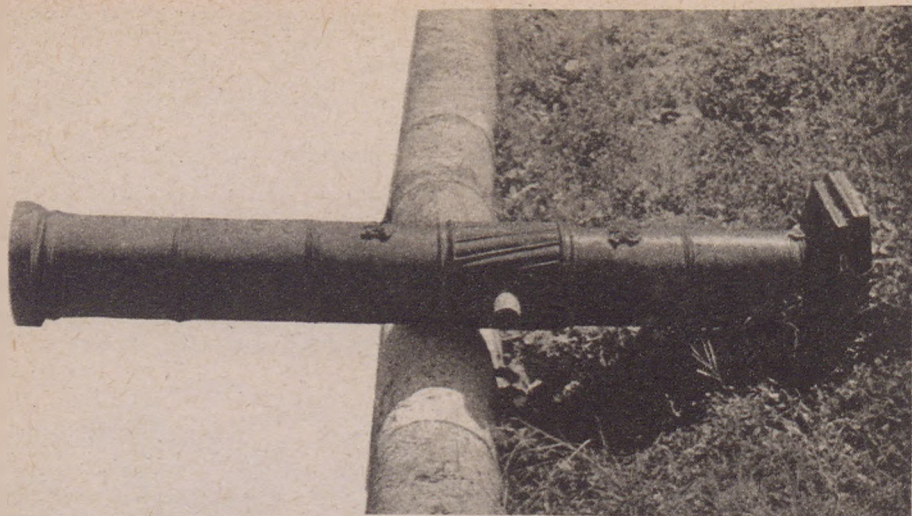
Nakoniec seria drzeworytów. W. Brochockiego z r. 1886 upamiętnia miasto, które być może zachowało się jeszcze w pamięci naszych Starszych Czytelników. Dziś trudno już odnaleźć wiele motywów, które rysował Brochocki; a może jednak nie wszystkie zaginęły?...



PRZEMYŚL

OPRACOWAŁ TADEUSZ ŻYCHIEWICZ





Stare działa z okresu renesansu i baroku należą już do rzadkości. Działa zaś z czasu średniowiecza są unikatami w skali światowej. Tym cenniejszym i ciekawszym obiektem jest opisywana tu armata, pochodząca ze schyłku średniowiecza a należąca do zbioru wawelskiego. Prócz niego tylko w Warszawie znajduje się większy zespół zabytków artylerii polskiej. Nie znaczy to wcale, by w dawnych wiekach artyleria polska była słabo rozwiniętą bronią, wręcz przeciwnie. Niestety wojny szwedzkie, a głównie okres rozbiorów były okazją do masowego rabunku sprzętu artyleryjskiego Rzeczypospolitej. Niewiele zostało i niewiele wróciło później do kraju.

Bawiąc w Krakowie na zamku wawelskim warto zwrócić uwagę na rząd dział ustawionych na wałach od strony ulicy Kanoniczej. Właśnie wśród nich znajduje się najstarsze spiżowe działo polskie.

Maria Grodzicka

NAJSTARSZE SPIŻOWE DZIAŁO POLSKIE



zgodnie z wymaganiami obowiązującej w danej chwili wiedzy artyleryjskiej.

Zwrotnym okresem dla rozwoju artylerii polskiej był początek XVI w. Zmieniła się wówczas sylweta działa z cylindrycznej na koniczną, wprowadzono już na stałe czopy, ułatwiające ustawienie i umocowanie lufy na lawecie oraz zmianę kąta nachylenia przy celowaniu. Na części czopowej pojawiają się uchwyty. Obsługa i przygotowanie dział do strzału stało się dzięki temu sprawniejsze i szybsze. Prowadziło to do zwiększenia siły ognia, a zatem podnosiło bojową wartość artylerii. To też dawne typy armat straciły zupełnie znaczenie i zostały uznane za nieużyteczne. Przeznaczono je na przetop. Nic więc dziwnego, że niewiele dział typu średniowiecznego zachowało się do naszych czasów.

W zbiorach polskich jedynym przykładem naszego ludwisarstwa wojennego z okresu tworzenia się artylerii nowożytnej jest działo z r. 1506 przechowywane w zbiorach wawelskich.

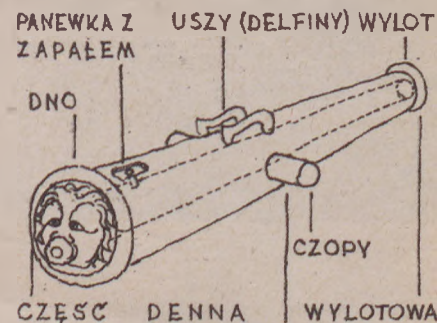
Długie na 210 cm, kalibru 17 cm, należy do dział średnio ciężkich, określanych niemiecką nazwą „Singerin“.

Posiada ono kształt smukłego cylindra kilkakrotnie opasanego wąskimi pierścieniami i szeroką obręczą wzmacniającą wylot. Dno zakończone jest taranowym obciążeniem, z wyciętym u góry otworem umożliwiającym celowanie „wzdłuż lufy“. Część środkowa zaopatrzona jest w czopy. Zapal umieszczony przy samym dnie jest otoczony wałkiem tworzącym panewkę.

Jak wspomniano, w pierwszych latach w. XVI kształt lufy armatniej zmienia się z cylindrycznego, normalnego w w. XV, na koniczny. Przemiana ta nie następuje jednak od razu. Przez ćwierć wieku ludwisarnie odlewają obok dział konicznych, także i działa dawnego typu, na co licznych dowodów dostarcza nam grafika i malarstwo tego czasu. Cylindryczny kształt posiada działo na miedziorycie Albrechta Dürera „Wielka Armata“ wykonanym w roku 1518. Podobnie i na

sztychach zdobitych książki poświęcone artylerii sylwetę cylindryczną lufy spotyka się również często jak koniczną. Szczególnie ciekawy materiał pod tym względem daje nam obraz przypisywany Cranachowi a przedstawiający bitwę pod Orszą, więc malowany po r. 1514. W tłumie walczących między oddziałami piechoty i konnicy bierze czynny udział w bitwie także i artyleria, w sile dwóch baterii: jednej złożonej z dział cylindrycznych, drugiej — z konicznych. Tak więc fakt odlania armaty cylindrycznej w w. XVI, w żadnej mierze nie może być poczytywany za dowód zcofania i nieudolności ludwisarstwa polskiego.

Na specjalną uwagę zasługuje dekoracja działa, bardzo skromna i wytworna, wykonana i wykończona z wielką starannością. Ma ona na celu nie tylko ozdobienie odlewu, ale — i to może w większej jeszcze mierze, oznaczenie jego przynależności i czasu powstania, oraz podkreślenie części funkcyjnych. Tak więc w celu rozgraniczenia poszczególnych części lufy, partia czopowa posiada większą średnicę. Pokryto ją w górnej połowie ukośnie biegnącymi wypukłymi pasami, co w zestawieniu z gładką polerowaną powierzchnią partii wylotowej i dennej daje pożądaną kontrast i zdecydowanie ją wyodrębnia. Pewną monotonię dużych, jednostajnych płaszczyn przerywa — rozmieszczone w równych odstępach — wąskie, profilowane pierścienie. Dzielą one część wylotową na trzy, a denną na dwa pola. Tarcze herbowe z Orłem i Pogonią zajmują pola sąsiadujące z częścią czopową działa. Są one stosunkowo drobne, ale odlane bardzo plastycznie. Dają potrzebny akcent dobrze harmonizujący z ukształtowaniem partii środkowej. Bardziej płasko traktowana jest data 1506 umieszczona bliżej wylotu. Wszystkie te szczegóły dekoracji posiadają charakter gotycki. Takim jest kształt cyfr i wykroj tarcz herbowych oraz bardzo typowe dla dział tego czasu uformowanie części czopowej. W pierwszych latach w. XVI te gotyckie cechy ornamentu są zupełnie normalne i powszechne



Schemat konstrukcji lufy typowego dział nowożytnego z podaniem najważniejszych części.

nie tylko w Polsce, ale nawet i w krajach sąsiadujących bezpośrednio z Włochami, gdzie renesans był już wówczas w pełni rozkwitu.

Archiwalia przynoszą nam niewiele wiadomości o tej ze wszech miar interesującej armacie. Odlana została w roku śmierci króla Aleksandra I i objęcia rządów przez Zygmunta Starego, w ludwisarni królewskiej, o czym świadczą obecność herbów państwowych. W tych czasach pracowały tylko dwie takie ludwisarnie: w Krakowie i we Lwowie. Brak danych, by rozstrzygnąć, w której z tych pracowni dokonano odlewu. Również nie jest znane imię jej twórcy — można jedynie stwierdzić, że był to mistrz o dużej umiejętności i bardzo wyrobionym smaku artystycznym.

W r. 1805 działo wykopano na Litwie w powiecie rosieńskim. Nie da się jednak stwierdzić czy zostało przewiezione na Litwę bezpośrednio po wykopaniu, czy też w czasie późniejszym.

Następna wiadomość pochodzi z r. 1917. Działo należało wówczas do Muzeum Historycznego Artylerii w Petersburgu i stamtąd drogą rewindykacji powróciło do kraju. Obecnie umieszczone jest na wzgórzu wawelskim, gdzie wyróżnia się z pomiędzy innych armat i zwraca szczególną uwagę swoją charakterystyczną sylwetą i szerokim wylotem lufy.

BOMBA Z JUBILEUSZAMI

Pół wieku temu Boy pisząc o „Krakowskim jubileuszu“ martwił się, że

„...wszystko mija na świecie (niech go jasny piorun trzaśnie) i zdarzyć się może przecie, że tradycja ta wygaśnie.“

Jak dotąd nic jednak nie zapowiada spełnienia się tych obaw. Jeden jubileusz sprawnie następuje po drugim, z większą lub mniejszą reklamą i z lepszym lub gorszym (niestety!) uzasadnieniem. W sierpniu ubiegłego roku obchodzono hucznie 700-lecie Starego Sącza, które w rzeczywistości okazało się 600-leciem (patrz artykuł W. Bazieliha w numerze 2 (16) „Ziemi“). Podobny hokus-pokus

arytmetyczny dokonał się w innym historycznym mieście, Wieliczce, gdzie w grudniu ub. r. z całą praktykowaną w takich okazjach pompą rozpoczęto uroczystości 1000-lecia kopalni wielickiej. Tysiąc lat — to brzmi dumnie! Tysiąc lat to znaczy, że kopalnię wielicką założono w 957 roku. Tu ogarnia człowieka lekki niepokój. Zaraz, zaraz! Przecież pierwsza znana wzmianka kronikarska o Polsce w ogóle pochodzi z r. 963. Jeszcze kilka lat dzieli nas od początku uroczystości Millenium. Zaniepokojeni sięgamy do źródeł i cóż się okazuje?

Odkrycie soli kamiennej w Polsce nastąpiło w r. 1251 (i to w Bochni a nie w Wieliczce). Kopalnia więc wielicka powstała między tym

rokiem a r. 1277, kiedy po raz pierwszy wspomniana jest w dokumencie Bolesława Wstydlwego. Zastwierdzając posiadłości i przywileje klasztoru cystersów w Koprzywnicy, wymienia on m. in. sól „...in salisfodina magnum sal vulgariter vocata.“ Magnum sal — to właśnie Wieliczka.

Oczywiście, że już wcześniej produkowano w Polsce sól, także i w Wieliczce, ale sól warzona z naturalnej solanki. Pierwsza o tym wiadomość pochodzi z lat 1123/25, kiedy legat papieski Idzi, bawiąc w Polsce potwierdził uroczystość dochody i posiadłości opactwa tynieckiego, wyliczając skrupulatnie także i dochody w soli. Zdaniem historyków dokument ten wyznacza nie

STANISŁAW NOWAK

tylko nadania panującego ówczesnego Bolesława Krzywoustego, ale i jego stryja króla Bolesława Śmiałego. Jeżeli przypuścimy, że solne uposażenie wielickie pochodzi z nadeń tego ostatniego i założymy nawet, że nastąpiło w pierwszym roku jego panowania, to najwcześniejszą datą jaką tą ryzykowną drogą moglibyśmy uzyskać, jest rok 1058.

Cóż, okrągłe 900 lat to całkiem ładny kawałek czasu i zupełnie chyba wystarczająca podstawa do jubileuszu, nawet dla najbardziej wymagających. Czy warto więc było rozmyślać się z prawdą, kompromitując w ten sposób całą imprezę w oczach ludzi mających choć jaką taką znajomość historii?

WYJAŚNIONA ZAGADKA

W n-rze 11 (13) „Ziemi” z listopada 1957 r. wydrukowano interesującą i cenną notatkę p. A. Łaszczyńskiego z Krakowa o zabytkowym piecu kaflowym, stojącym w podworskim budynku w Krzyszkowicach (pow. myślenicki).

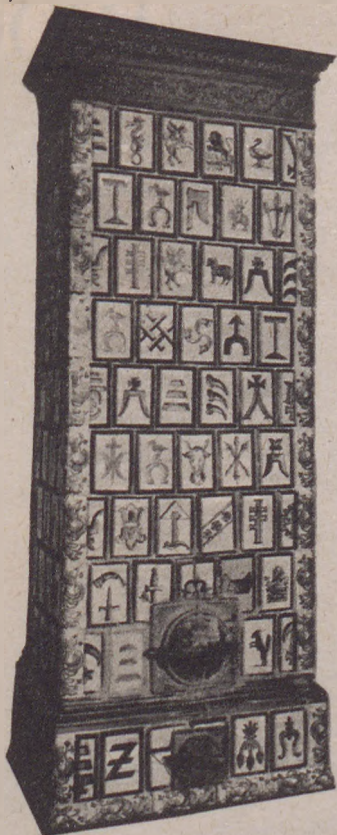
Autor notatki słusznie określa czas budowy tego pieca na drugą połowę XIX w., wyraża jednak przypuszczenie, że kafle są „produkcją jakiegoś małomiasteczkiego warsztatu zdunskiego”.

Tymczasem z fotografii umieszczonej w „Ziemi” okazuje się, że piec znajdujący się w Krzyszkowicach jest produkcją manufaktury majoliki, założonej w 1881 r. przez ks. Michała Piotra Radziwiłła w Nieborowie. Ta manufaktura czynna zaledwie kilkanaście lat, mieściła się w budynku dawnej gorzelnii w pobliżu pałacu. Katalog nieborowskich „wyrobów artystycznych majolików, drukowany w 1885 r. w języku polskim i francuskim, zalecał m. in. „jedyny w świecie dobór charakterystycznych pieców kolorowych”, zastosowanych do „stylu i koloru pokojowych obić”. W Katalogu wymieniono: piec gdański błękitny; piec Sobieskiego; piec królów z popiersiami Zygmunta I, Batorego i Sobieskiego, piec w kasetony z wizerunkami znakomitych Polaków (m. i. Kościuszki) i wreszcie piec-herbarz, w którym herb właściciela otaczają herby skołigaonych rodów.

Błękitny piec kszyszakowski jest właśnie jednym z owych „herbarzy” wykonanych w Nieborowie ok. 1885 r.

Do niniejszej notatki dołączam fotografię pieca (wys. 2.44 m), stojącego w gościnnym pokoju pałacu nieborowskiego. Porównując tę fotografię z reprodukcją podaną przez p. A. Łaszczyńskiego, łatwo ustalić około 20 identycznych herbów. Występujących zarówno w piecu w Krzyszkowicach, jak i w Nieborowie. Identyfikacja jest również ornament roślinny zdobiący narożne kafle obydwu pieców. Natomiast piec krzyszkowski w przeciwieństwie do nieborowskiego ozdobiony jest kartuszem herbowym właściciela. Ponadto „herbarz” nieborowski posiada herby utrzymane w kolorze żółto-brązowym, zastosowanym prawdopodobnie „do koloru pokojowych obić”. Trzeba jeszcze dodać, że zwieńczenie pieca nieborowskiego pochodzi z pocz. XX w. i nie ma nic wspólnego z wyrobami manufaktury radziwiłłowskiej.

W pałacu nieborowskim, stanowiącym



od 1945 r. oddział warszawskiego Muzeum Narodowego, zachowały się wraz z pełnym wyposażeniem i zbiorami artystycznymi, biblioteką i archiwum, wszystkie piece majolikowe, a wśród nich dwa „herbarze”, kilka pieców błękitnych, nadsiadających „staroświeckie holenderskie kafelki” (Delfty) oraz piec z kafli, przedstawiający cykl bajek Lafontaine’a, według ilustracji G. Dorégo. Jako kustosz tego Muzeum od 1945 r. podaję tę wiadomość z prawdziwą przyjemnością.

ŁÓDŹ W DAWNEJ FOTOGRAFII

Łódź. Dla wielu ludzi wyraz ten jest tylko synonimem szarzyzny, jednostajności, wyczerpanej pracy. Nazwa miasta brzydkiego, pozabawionego zabytków, nieciekawego. Nie wartego odwiedzenia. Co jest przyczyną szerzenia się takich opinii?

Sześć wieków historii Łodzi do dnia dzisiejszego nie doczekało się żadnego monograficznego opracowania. Jej zabytków nie spularyzował żaden album. Po wielu pozostały zresztą już tylko stare fotografie.

Przestępujemy do publikowania serii ciekawszych zdjęć archiwalnych z tego miasta, udostępnionych nam przez łódzkie archiwum. W przyszłości jednak chętnie skorzystamy również z prywatnych zbiorów fotografii dawnej Łodzi, przy czym redakcja gwarantuje zwrot wszystkich zdjęć po wykorzystaniu.

Oto reprodukcja fotografii łódzkiego targowiska — Nowego Rynku. Ten ośmioboczny plac, centrum Nowego Miasta, to dzisiejszy Plac Wolności. Zdjęcie, nieznanego auto-

ra, uznane zostało za najstarszą fotografię Łodzi. Wykonano ją zapewne w okresie 1888—1890 r., gdyż później tak Stary Ratusz, widoczny z prawej strony, jak i kościół (otoczony topolami) uległy zasadniczym lub częściowym przeobrażeniom architektonicznym łatwo dostrzegalnym na starych litografiach z połowy ub. w. czy na zdjęciach z lat 90-tych. Kto choć raz był w Łodzi — na pewno szedł główną arterią komunikacyjną i handlową: ulicą Piotrkowską — pozna więc dość łatwo, iż jest to „ukoronowanie” dawnego fabrycznego traktu. Empiryczny Ratusz wybudowany w 1827 r. stylem i „gustem” podobny jest do kościółka ewangelickiego z r. 1826. Kościół ten przebudowano zupełnie w r. 1890. Cały budynek Starego Ratusza zajmuje dziś Archiwum Państwowe m. Łodzi i Województwa Łódzkiego. Ongiś mieściła się tu sala posiedzeń Rady Miejskiej i Urzędu Muncypalnego, mieszkanie burmistrza, cyrkuł policji i kasa miejska.

NADEŚLAŁ Z. KONICKI



DAWNE
POCZTY
POLSKIE



PIERWSZA POCZTA LOTNICZA NA ZIEMIACH POLSKICH

W czasie pierwszej wojny światowej w latach 1914—1915, Przemysł był — jak wiadomo — austriacką twierdzą.

Jego to zadaniem miało być powstrzymanie ataków wojsk rosyjskich maszerujących przez Karpaty na Węgry i w głąb Austrii.

We wrześniu 1914 roku pierścien oblegających wojsk rosyjskich zacieśniał się coraz bardziej. Do 22 września wykorzystano jeszcze z drogi przez Birozę i Dubiecko, wolnej od nieprzyjaciela. W tym dniu jednak automobil pocztowy ostrzelany przez Rosjan zawrócił do twierdzy. Twierdza została całkowicie odcięta od reszty kraju. Pozostał tylko transport powietrzny.

Po raz pierwszy zastosowali lotniczy przewóz poczty Amerykanie w Indiach w roku 1911, następnie prób dokonali Anglicy, Francuzi i Niemcy. W czasie wojny lotniczy przewóz poczty stosowano na różnych frontach. Korzystał zeń również oblężony Przemysł. Samoloty austriackie przewoziły tu korespondencję nie tylko wojskową lecz również pocztówki lotnicze dla ludności cywilnej i zamkniętych w twierdzy żołnierzy. Zainstalowano w twierdzy również wojskowy telegraf iskrowy. W obawie jednak by i depeche nie zostały rozszyfrowane przez nieprzyjaciela — nie zawsze z tej łączności korzystano. Wtedy to depeche przewoziły sa-

moloty. W trudniejszych warunkach atmosferycznych, kiedy zawodziło lotnictwo — używano gołębi pocztowych. W twierdzy znajdowała się i stacja gołębia.

A oto jak mieszkańcy oblężonego miasta wspominają tę pierwszą w Polsce pocztę lotniczą. Tak o niej pisze Wanda Zakrzewska w broszurze pt. „Oblężenie Przemysła”: „Smutno i dziwnie żyje się teraz. Poczty nie kursują z chwilą zamknięcia Przemysła. Cieszymy się nadzieją, że lotnik przyniesie nam jakąś wiadomość, a my go również obciążamy naszą korespondencją. Lotnik — to jedyny łącznik pomiędzy twierdzą a światem. Zazwyczaj przywozi on ze sobą gazety, listy, wiadomości od swoich, za czym obrońcy fortecy najwięcej tęsknili. Nic dziwnego, że wyglądko go jako najbardziej upragnionego gościa. Wszystkie twarze jaśniały radością a serca żywiej biły, gdy na widokokręgu ukazał się, a po przelocie ponad dwoma liniami rosyjskiej armii, samolot wylądował w twierdzy”.

Po raz drugi z poczty lotniczej korzystał Przemysł w czasie II wojny światowej. Wycofujący się Niemcy zniszczyli drogi, linie kolejowe i mosty. Wtedy to od 25 sierpnia 1944 r. transport poczty i prasy z Lublina do Jarosławia, Przemysła i Rzeszowa odbywał się samolotami.

MARIAN SŁOWIK

U góry: Ilustracja przedstawia samolot austriacki, który przewoził pocztę lotniczą (reprodukcja z widokówki współczesnej). U dołu: reprodukcja znaczka pocztowego z austriackiej serii wojennej z 1915 r., przedstawiającego samolot w locie. Jest to jeden z pierwszych znaczków o tematyce lotniczej. Kolor — ultramaryna. Cena 35 halerzy plus 3 halerze na rzecz wdów i sierot po poległych. Po lewej: dwa stemple gumowe austriackiej poczty lotniczej w Przemysłu — „Poczta lotnicza Przemysł — styczeń 1915”, oraz drugi będący jednym z pierwszych stempli poczt lotniczych. Inicjały FSTG znaczą tyle co, Festung, Twierdza Przemysł.

Fliegerpost Przemysł
JÄNNER 1915.

K.-K. FLIEGERPOST
arte.
1914 1915
FSTG. PRZEMYSŁ.

ÖSTERREICHISCHE KÖNIGLICHE
POST-UND TELEGRAPHEN-ANSTALT
FLIEGERPOST
PRZEMYSŁ
35 35

ziemia NIKT JESZCZE O TYM NIE PISAŁ

— to winietka, która zastępuje dotychczas stosowany napis „ZIEMIA — materiał publikowany po raz pierwszy”. Niektórzy bowiem z naszych Czytelników mylnie go rozumieli, sądząc, iż jedynie opatrzone nim artykuły są oryginalnymi pozycjami w numerze. Reszta zaś to... przedruki (!) Tymczasem w rzeczywistości zarówno dawnym jak i nowym napisem opatrujemy tylko takie artykuły i notatki, które stanowią odkrycie naukowe i zawierają materiał nie publikowany dotychczas nigdy ani w literaturze popularnonaukowej ani w ściśle fachowej.

ROCZNIKI

Redakcja dysponuje jeszcze pewną ilością roczników Ziemi (rok 1957). Cena rocznika ozdobnie oprawnego wynosi 100 zł, nieoprawnego 60 zł plus koszt przesyłki. Wysyłkę roczników będziemy realizować w kolejności zamówień za pobraniem pocztowym lub po uprzednim przesłaniu należności.



JANUSZ BOGDANOWSKI

Fotografie i rysunki autora

ziemia NIKT JESZCZE O TYM NIE PISAŁ

DWÓR NA

Wśród tych „Gór“ na wysokiej przełęczy nad Wisłą stoi pusty dwór. Od promu w Latarce (w Przewozie koło Spytkowic) wiedzie przezeń ku Brodowi stara lipowa aleja. Przełęcz pomiędzy lesistą górą, a skalistym zboczem i wrzosowiskami Mirówki otwiera się szerokim widokiem na północ ku jurajskim wzgórzom a na południe ku Wiśle i panoramie Beskidów. Dookoła nieco pól i rozległe lasy. Kamienne mury z białego wapienia ogradzają całe opustoszałe obejście. Aleja lipowa, przechodzi na wylot przez bramy starodrzewiem zarosłego dziedzica. Na prawo od niego rozległa łąka otoczona murem, opada w dół a potem wznosi się niemal pod szczyt Mirówki. Na niej, przy zarosłym stawku z kilkoma wierzbami, widać resztki muru dzielącego łąkę na dwie części. Dalsza na stoku stanowiła duży sad, po którym pozostało kilka drzew i ruiny domku ogrodnika, oraz oranżerii. Kiedyś musiała tędy płynąć woda, gdyż w murze od północy dostrzec można sklepiony łuk, a pod nim bujnie zarosłe zielskim koryto, opadające ku stawkom i znikające zieloną smugą wśród skał. Wzdłuż niego resztki muru i wysoka szkarpa dzielą sad od zabudowań gospodarczych. Z tych pozostały nikiel szczątki stodoły, stajni, kurników i tylko potężny lamus ostał się czasowi.

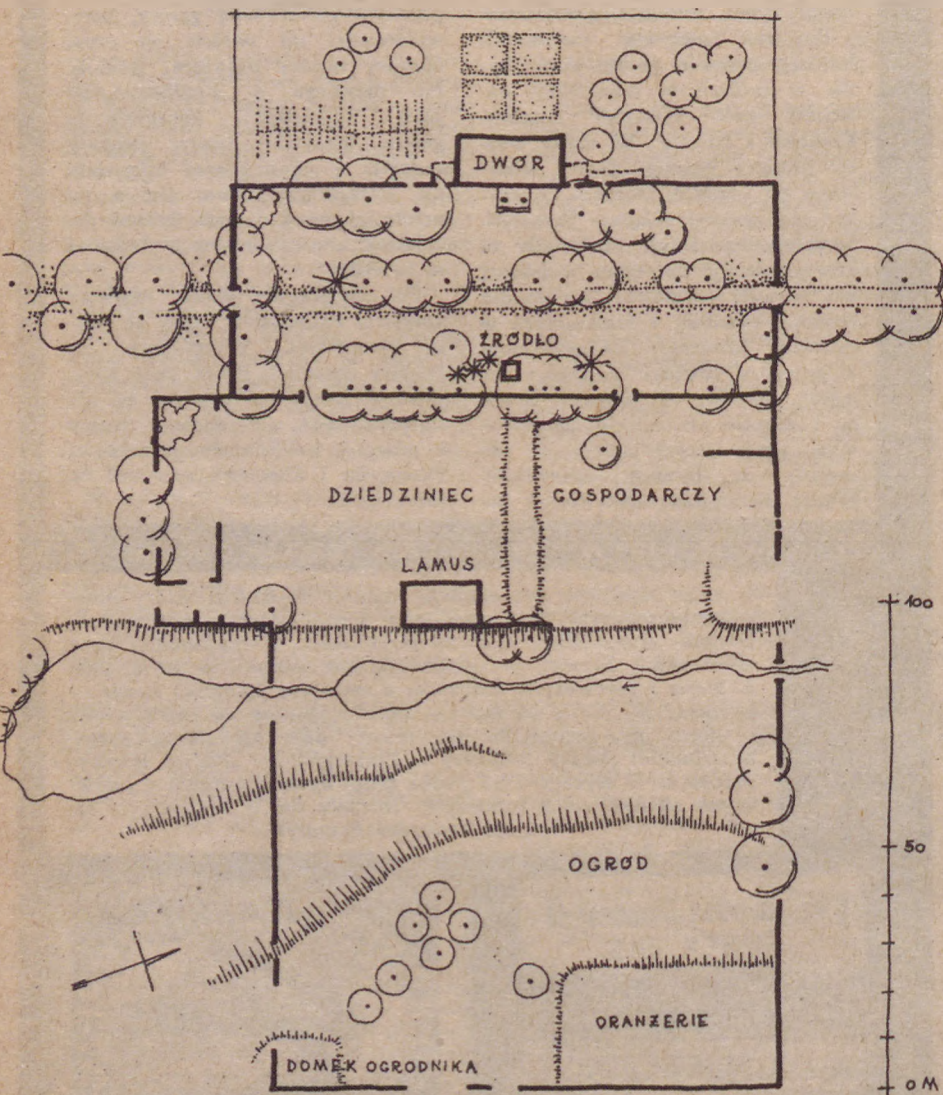
Zbudowano go z łamanego wapienia, dając mury na metr trzydzieści grube i opatrzone na dole dwoma sklepionymi w kolebki piwnicami. Góra z małymi okienkami, zachowała jeszcze wysokie szczyty o półkolistych oknach. Mur lamusa od sadu jest ślepy, bez okien i znać na nim resztki tynków, od dziedzica zaś posiada wejście i cztery równo rozmieszczone po bokach

Istnieje architektura, której od krajobrazu oderwać nie można. Krajobraz staje się wtedy już nie tłem dla budowli, ale wprost tworzywem, które spleta się z architekturą w organiczną całość.

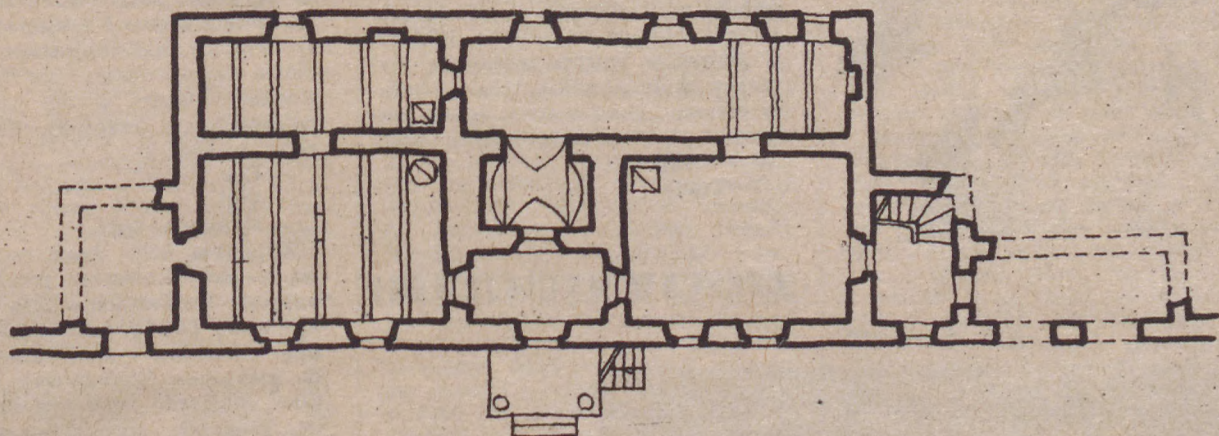
Tak właśnie jest na Mirowie. Nie chodzi tu o Mirów pod Częstochową, czy w Książu Wielkim, ale o jeszcze inny, nieznanym nawet katalogowi zabytków, a położony w Paśmie Krakowsko-Jaworznickim, lub (lepiej) w Krakowskich Górach. Gór takich nie ma na żadnej mapie i pojęcie to istnieje tylko w ludowych tradycjach pamiętających „szczęśliwe czasy“ Rzeczypospolitej Krakowskiej, i ...w rzeczywistości.

A rzeczywistość ta godna jest szczególnej uwagi. Pomiędzy Krakowem, Doliną Wisły, tak zwanym Rowem Krzeszowickim i Chechłem, ciągnie się słabo zaludnione pasmo lesistych wzgórz, pełne wapiennych skał, wrzosowisk, to znów pustyń i moczarów posiadających swoiste piękno. Na tym też obszarze leżą ruiny Tęczynka, Tyńca, Lipowca, stare parki i dwory w Aleksandrowicach, Porębie czy Płazie, no i przede wszystkim wieś, — żywe „skanseny“ krakowskiego budownictwa ludowego.

Gdyby nie to, że mieszkańcy Krakowa są „zepsuci“ bliskością Beskidów i jurajskich „Dolinek“, łatwo dostępnym dzięki wygodnej komunikacji, Krakowskie Góry nie tkwiłyby w takim zapomnieniu i nie łączyły ze „światem“ słabutką nicią komunikacji PKS Kraków—Chrzanów.



PUSTKOWIU



Na stronie poprzedniej „Krakowskie Góry” w okolicach Przegini Duchownej, oraz schemat założenia folwarku w Mirowie. Widoczna oś poprzeczna założenia w postaci alei ze Spytkowic do Brodły, oraz podłużna wyznaczona położeniem dworu i źródła. U góry: ruiny lamusa. Poniżej: plan dworu w Mirowie. Po lewej: widok dworu. U dołu: schematyczna mapa „Krakowskich Gór”. Główne grzbiety i doliny jurajskie oznaczono zagęszczeniami kropek. Dwoma wieżami oznaczono klasztor, basztą — zamki, kopcem — grodziska. Strzałki przedstawiają ekspansję przemysłu i zabudowy miejskiej.



okienka. Niestety nad całością nie ma już dachu.

Z zabudowań gospodarczych wiódą z powrotem na cienisty dziedziniec dwie bramy. Dziedziniec ten, w którego założeniu dźwięczą echa barokowego „cour d'honneur”, stanowi ośrodek całego założenia. Po dłuższej osi przebiega przezeń droga i 3 szpalery lip i kasztanów. Krótszą oś podkreśla dwór swym wejściem z ganeczkiem i źródło-studzienka, a wreszcie dwie bramki ku okołowi wiodące.

Dwór miał dawniej po bokach dwa alkierze, o czym świadczą okna w murze dziedzińca i ślady fundamentów. Teraz jest to budowla na planie prostokąta z sienią i po bokach umieszczonymi dwoma izbami i komorami. Przez ganeczek wsparty na kolumnkach, obok których, z prawej zejść można do loszku z 2 piwnicami, sień wiedzie pod sklepienie spędzonego komina i do izb. W jednej z nich, lewej, dużej, o belkowym stropie, stoi okrągły klasycystyczny piec i znajduje się sosręb z napisem.

O historii dworu niewiele wiadomo. Podobno był tu kiedyś zamek, potem dwór, a wreszcie folwark stanowiący własność Potockich z Krzeszowic. Jak było naprawdę nie udało się dociec. W każdym razie jedno jest pewne, że założenie to ma skromne cechy schyłku baroku i wspaniałe powiązanie z krajobrazem. Środkowa jego część łączy się z otaczającymi lasami pasmem drzew, ruiny zaś zabudowań gospodarczych włączają się w krajobraz długimi murami biegnącymi po stokach skalistej Mirówki.

Wszystko to więc razem, skromny barokizujący folwark, punkt widokowy, grupa starodrzewiu i otaczające lasy i góry, zasługują na szczególną uwagę, zwłaszcza ze względu na swe położenie. W niedalekiej bowiem przyszłości w miarę rozwoju przemysłu w Nowej Hucie, Skawinie, Oświęcimiu i kopalni w zagłębieniach krakowskim oraz wiślańskim, Krakowskie Góry staną się naturalnym ośrodkiem wypoczynkowym dla ludności wszystkich tych zespołów przemysłowych. Ale o tym, by taki ośrodek mógł powstać za kilka lat, trzeba myśleć już dzisiaj, w przeciwnym razie bliskość rozbudowanego przemysłu grozi Krakowskim Górkom dewastacją i bezplanową zabudową. Smutnych przestroż dla tych, którzy niedoceniają niebezpieczeństwa jakie niesie ze sobą spontaniczny rozwój przemysłu i budownictwa mieszkalnego, dla krajobrazu, nie trzeba daleko szukać. Wystarczy spojrzeć na sąsiednie okolice Jaworzna, Trzebini, Krzeszowic czy Wieliczki.

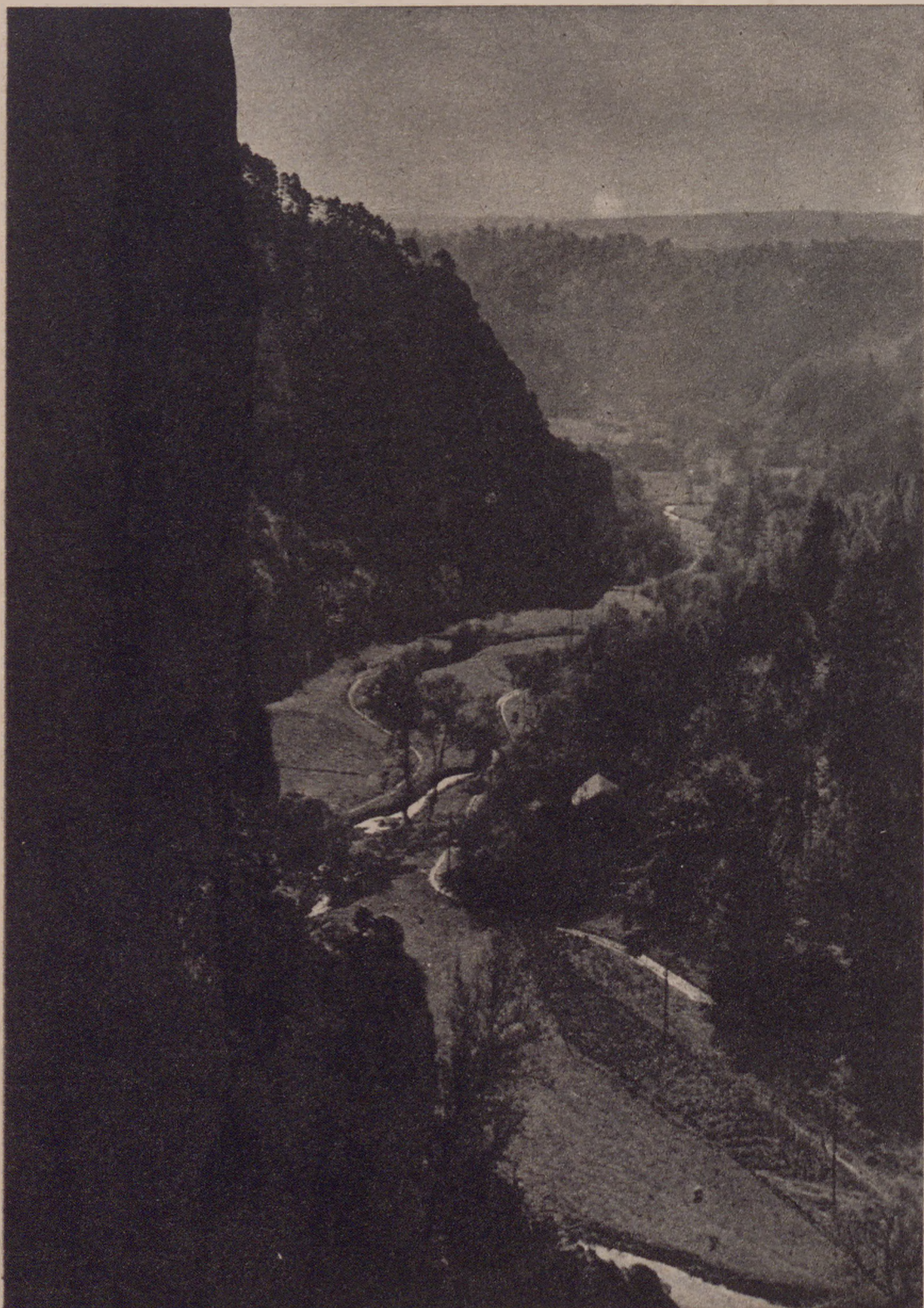
Nie trzeba tłumaczyć chyba, jaką rolę w terenach wypoczynkowych odgrywa zielen i zabytki, a między nimi zwłaszcza te, które można wykorzystać jako ośrodki turystyczne, czy schroniska. Takimi właśnie są położone w obszarze Krakowskich Gór, źle użytkowane, lub opuszczone dwory, a między nimi Mirów. Jego centralne i szczególnie piękne położenie zasługuje na jak najszybsze wykorzystanie. Pora zatem, by konserwator wojewódzki uznał dwór i całe założenie za zabytek, a PTTK pomyślało o użytkowaniu go do celów turystycznych czy wypoczynkowych.

KRAINA WEEKENDU



Fot. Zb. Gucwa

Rys. A. Pietsch



Wilgotną przecinką kroczy sznurkiem ludzi. Butami rozchlapują grząskie błoto torfowiska. Schyleni pod ciężarem plecaków szukają drogi między kępami trawy, pośród bagiennych rozlewisk powleczonych kozuchami piany. Głowami trącają zwisające gałęzie. Spłoszone kosy odbiegają miltzkiem po zbutwiałej ściółce ku najgęstszemu chaszczom. Ścieżka wychodzi z lasu na piaszczysty trakt, między sosnowe zagajniki. Pochyleni ludzie zanurzają się w fali gorącego powietrza. Zwolnionymi krokami miela piasek. Wierzchem dłoni przecierają czoła, odgarniają palcami wilgotne włosy. Zapyłonym traktem docierają do pasma lesistych wzgórz. I znów wsuwają się pod osłonę bukowego gąszczu. Lawirują między pniami na łagodnych zboczach, szleszczą butami w żółtych liściach. Z grzbietów wzgórz wyrastają wapienne skały. Gładkie turnie i baszty sterczą ponad korony drzew, nagrzane płyty pachną sokiem skalnych roślin.

— Tutaj.

CZESŁAW MACIEJEWSKI

— Może dalej? O, tam...

Już ani kroku...

Zwalają plecaki i rzucają się na ziemię. Wzrokiem błędzą w gęstwinach jasných liści. Szeroko rozkładają ręce. Przebierają palcami wśród grudek ziemi i suchych patyków ze zwidyłymi paczkami. Rozgryzają je w zębach.

Nim nadejdzie wieczór pod drzewami stają namioty. Pierwsze niepoterze polują wśród gałęzi.

O sto kilometrów dalej ku południowemu wschodowi, sznurek ludzi kroczy połąną miedzą. W pełnym blasku słońca pełzną po sfalowanych pagórkach okrytych łańcami młodego zboża. Wąskimi ścieżkami docierają nad krawędzie wąwozów, suną brzegiem parowów wciętych w uprawne pola. Patrzą w dół na zarośnięte zbocza i zrujnowane skały wiszące nad kozuchem zieleni. Dnem jarów snują się strumyki. Ludzie zbiegają w dół chwytając palcami pręty leszczyny. Nad wodą rzucają plecaki.

— Coś zjemy?

— Pić!

— Najpierw buty...

Zdejmują buty, boso rozłazą się po trawie. Brodzą w potoku, kłękają na kamieniach i piją lodowatą wodę patrząc na pełzające po dnie chruściki. Potem zabierają się do gotowania. Wydobywają z plecaków maszynki spirytusowe. Sypią do menażek sproszkowane zupy, słuchają bulgotania płatków owsianych.

Wieczorem nad potokiem rozpalają ognisko. Czerwony blask kładzie się na dachach namiotów i wylawia z ciemności spiętrzone nad biwakiem skały. Plamy światła pełzają po twarzach ludzi schylnych nad ogniem, trzymających palcami zaostrome patyki z nadzianymi na nie kawałkami kielbasy. Po za plecami ludzi płynie niewidoczny potok przemawiający bełkotliwym narzeczem.

Tak jest w sobotnie popołudnie i wieczory. A w niedziele, w niedzielne poranki od zadymionych stacyjek kolejowych rozsianych na całej tej stukilometrowej przestrzeni między bukowymi górami, a krainą wąwozów, pojawiają się nowi ludzie. Suną miedzami, dążą po zapyłonych drogach ku murom zrujnowanych zamków wśród pól, ku zagajnikom, potokom i jarom. W cieniu, na trawie rozkładają koce,

Fot. W. Tomasziewicz



zjadają zapasy, błędzą w buczynowych zaroślach.

Wszędzie gdzie się ruszą mają pod stopami, pod kępami trawy, pod leśną ściółką, na dnie potoków, białą, miękką skałę, kruchy wapień, leżący pod całą tą krainą weekendu — Jurą Krakowsko-Częstochowską.

WIELKOPOLSKIE OBRAZKI NA SZKLE

Wisiąły dotąd w muzeach jakby niezauważone, z piętnem mniemanej obcości. Gdzież im było się równać z obrazkami orawskimi, spiskimi czy podhalańskimi, które stały się przedmiotem podziwu od czasu, gdy nastąpiła moda na zakopiańszczyznę. Albo choćby z kaszubskimi, które dostrzeżono, gdy zabrzmiało hasło „Frontem do morza!” O wielkopolskich obrazkach wprawdzie raz wspomniał T. Seweryn (w artykule o kaszubskich obrazkach na szkle — Kur. Lit. — Nauk. 3. 6. 1929), ale nigdzie nie poświęcono im większej uwagi.

W izbach chłopskich już ich dzisiaj nie ma. Przed II wojną światową poważniejszy zbiór obrazków na szkle posiadało muzeum regionalne we Wschowie. Sporo zebranych na terenie swej parafii ks. kanonik Majkowski, gdy osiadł w Kopanicy pod Wolsztynem. W skład jego kolekcji wszedł też jeden obrazek z Grodziska Wielkopolskiego. Kilka malowideł na szkle zdobiło w okresie międzywojennym ekspozycję etnograficzną Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu. Wszystkie te zbiory jednak uległy rozproszeniu i w znacznej mierze zniszczeniu w czasie hitlerowskiej okupacji i na skutek działań wojennych. Obecnie kolekcję ocalałych wielkopolskich obrazków na szkle posiada Muzeum Narodowe w Poznaniu.

Większość obrazków zebrana została z pogranicza śląskiego, od Ołoboku nad Prosną aż po Gościńszowice w pow. międzyrzeckim, głów-

nie z obszaru dawnej Ziemi Wschowskiej (do której należał również rejon Leszna) oraz z terenów do niej przyległych, jak np. Babimojszczyzny (dzisiejsze powiaty wolsztyński i sulechowski). Tu obrazków było najwięcej i tu w izbach najdłużej przetrwały. Starsi ludzie w Zaborowcu w pow. lesznieńskim pamiętają z dziecięcych lat, że już wówczas na owe obrazy rodzice patrzyli niechętnie i stopniowo je z izb usuwali.

Obrazki na szkle rozprzestrzeniają się na ziemiach polskich od połowy XVIII w. Mają one charakter religijny — z małymi wyjątkami jak na Podhalu, gdzie uwzględniają tematykę zbójnicką. Spotykane w Wielkopolsce obrazki są tylko treści religijnej. Liczną wśród nich grupę stanowią obrazki maryjne. Druga grupa, również licznie pokazana, wiąże się z postacią Chrystusa. Pokazuje go np. w drodze do Egiptu, w rozmowie z M. Boską czy też w cyklu pasyjnym, do którego nawiązują obrazy z chustą Weroniki lub adoracją krzyża. Trzecią grupę, najliczniejszą, tworzą obrazy świętych jak Wawrzyńca, Wendelina, Benedykta, Walentego, Rozalii, Katarzyny, Apolonii, Barbary i in.

Wymiary szklanych obrazków są jednolite. Wnoszą 28 cm wzdłuż i 18 cm wszerz. Odchylenia od tego formatu nie przekraczają kilku milimetrów. Bardzo rzadko spotyka się obrazki o połowę mniejsze, mianowicie ca 18×13 cm. W tych wymiarach utrzymany jest też obrazek M. Boskiej na tle lustrzanym,

który znajduje się w zbiorach poznańskiego muzeum. Niektóre oprawione są w stare ramki, wykonane z listewek sosnowych lub świerkowych, wyjątkowo z drzewa twardego, szerokich około 3 cm. Obraz wpuszczony jest w ramkę, przykryty lupaną deseczką i zabezpieczony drewnianymi klinikami. Kolor ramek, z reguły wiśniowy, czasem w tonacji brązowej, uzyskiwano zapewne malując je farbami z mielonej cegły, a lśniącą powierzchnię polerując olejem lnianym.

Obrazki odznaczają się wielką trwałością kolorów. Nie ciemnieją, jak drzeworyty i obrazy malowane na desce czy płótnie, które w izbie szybko niszczały od dymu i wilgoci. Szkło chroni kolory i zachowuje w takiej świeżości, w jakiej zostały na jego odwrocie nałożone. Urzekająca jasność i czystość kolorów tych obrazków była zapewne przyczyną ich popularności, jaką sobie zdobyły zwłaszcza u schyłku XVIII i na pocz. XIX w.

Malarze obrazków na szkle posługiwali się głównie farbami pokostowymi. Rysowali naprzód kontury postaci ludzkich, potem w obrębie tych konturów wykonywali szczegóły jak oczy, brwi, zarost, jasne i ciemne plamy na twarzach i rękach oraz fałdy na sukniach. Potem nakładali jednolite kolory na obramione konturami płaszczyzny. Wokół postaci świętego malowali wprost, od ręki, bez konturowania, zielone gałązki z czerwonymi najczęściej, fantazyjnymi kwiatami, przeważnie po jednej z obu stron

głowy. Na koniec zamalowywali tło.

Na wielkopolskich szklanych obrazkach twarze i ręce konturowane są najczęściej sepją i ugrem, rzadziej cynobrem lub lazurem, a wyjątkowo czernią. Łuki brwi i źrenice wykonane są zawsze farbą czarną, podobnie zarost i włosy, które podmalowuje się b. często kolorem płowo-zielonym. Żółty zazwyczaj nimb konturowany jest tak samo jak twarz, a jeżeli innym kolorem, to tylko żółtym. Nieliczne różowe czy białe nimby otoczone są obwódkami rysowanymi sepją albo też tymi samymi kolorami co kontur twarzy.

Szaty, skąpą scenerię i większe akcesoria obraznicy otaczali konturem według następujących zasad: sepją, a najczęściej czernią konturowali płaszczyzny białe. Jasno-żółtymi konturami obejmowali płaszczyzny pomarańczowe i cynobrowe, ciemno zielonymi, płaszczyzny jasno zielone i cynobrowe, karminowymi powierzchnie cynobrowe, a granatowymi niebieskie, modre i zielone. Bywają jednak obrazki bez tych efektów kontrastowych.

Modelowania twarzy, rąk i nóg dokonywali białą i różem, wyjątkowo, jak na wizerunku M. B. Częstochońskiej, również innymi kolorami. Często podkreślali cynobrem kolor warg, a gałki oczne białą, kontrastującą z czernią źrenic. Oczy stawały się wskutek tego bardzo wyraziste i żywe.

Modelowanie szat występuje często. Obraznicy czynili to przez sch-

U dołu: św. Rozalia, obraz na szkle z Kopanicy pow. Wolsztyn. Wymiary: 28,5×18 cm. Fot. L. Perz. Po prawej: św. Wawrzyńiec, obraz na szkle z podłożonym drzeworytem. Burz pow. Kościan. 32,5×23 cm. Fot. F. Maćkowiak.



ziemia NIKT JESZCZE O TYM NIE PISAŁ

Ludowe malarstwo na szkle to w praktyce całkowicie już dziś zamarta gałąź twórczości ludowej. W ostatnich latach próbowano je ożywić na Podhalu i dzięki temu przywykliśmy ją łączyć przede wszystkim z kulturą ludową Górali. Tymczasem niegdysiejsze obrazki na szkle malowano i w innych regionach kraju. O nich wie jednak tylko szczupła garstka specjalistów. Autor omawia twórczość takich zupełnie dotychczas nieznanymi malarzy ludowych z pogranicza Śląsko-wielkopolskiego.



OBRAZY NA SZKLE

matyczne zaznaczenie układu fałd ciemniejszym, bardziej nasyconym kolorem. Tylko wyjątkowo posługują się dodatkowo bielą. Rzadziej kładą gładkie płaszczyzny barwne bez modelunku.

Tło, o ile nie jest lustrzane, najczęściej pokrywa kolor niebieski, nierzadko w dolnej części rozjaśniony, przechodzący w biały. Jednolity w tle kolor niebieski, różowy, zielony czy czarny nie należy do wyjątków.

Drobne akcesoria jak pastorały, laski etc. dorysowali obraznicy na końcu pędzlem, od ręki. Nie liczyli się przy tym zupełnie ze skutkami kolorystycznego przeświecania plam barwnych o różnych walorach i natężeniu.

Ilość używanych przez obrazników kolorów jest niewielka. Najchętniej malowali farbą czerwoną, niebieską, żółtą i zieloną. Kolory są przeważnie czyste, niełamane.

Wszystkie wielkopolskie obrazki na szkłe z pogranicza śląskiego cechuje wielka swada w rysunku. Świadczy ona o rzemieślniczym opowaniu techniki malowania pospiesznego, obliczonego na masowy zbyt. Dzieła te, mimo swego niewątpliwie ludowego charakteru, nie mają tego uroczego prymitywizmu, borykającego się za każdym razem od nowa z problemami formy, co np. obrazki kaszubskie. Mimo naiwnych przedstawień góruje w nich wypracowany, nieomylny schemat. Właściwości te i dosyć często spotykane napisy w języku niemieckim, wreszcie główne rozprzestrzenienie obrazków na obszarach graniczących ze Śląskiem, nie pozostawiają wątpliwości, że są to importy. Wiadomo, iż

w Sudetach w oparciu o huty szkła rozwinęła się produkcja obrazków na wielką skalę. Stąd roznosili je obraznicy po całym Śląsku i poza jego granice, a od rozbiorów bez przeszkód również po Wielkopolsce. Tu obrazki szklane nie były czymś nowym. W kościołach wielkopolskich zachowały się z XVIII w. malowidła na szkłe o charakterze nie-ludowym. Do nich należy np. Pasja na tle lustrzanym w zakrystii kościoła pocysterskiego w Obrze w pow. wolsztyńskim czy też Ecce Homo w górnej partii ołtarza św. Walentego w kościele farnym w Wągrowcu. Masowy wyrób obrazków na szkłe również na użytek wsi odebrał im na przełomie XVIII i XIX w. charakter czegoś osobliwego. Stały się pospolite. Między wytwórcami zapanowała nawet rywalizacja o zbyt i to zapewne zmuszało je do uwzględnienia regionalnych potrzeb, jak o tym świadczy obrazek z wizerunkiem M.B. Częstochowskiej.

Obraznicy śląscy, którzy roznosili obrazki na szkłe po Wielkopolsce mogli tu niekiedy nawiązać bliższe znajomości i na stałe się osiedlać. O takim wypadku opowiadano mi w Jaromierzu i Kopanicy w pow. wolsztyńskim. Otóż w sąsiednich Marianicach miał się ożenić jakiś obraznik spod Nowej Soli, ponoć Czech z pochodzenia i tu obrazki na szkłe malować. W zbiorach poznańskich znajduje się wizerunek św. Rozalii, który pochodzi z okolic Kopanicy. Odnacza się on w zespole obrazków z zachodniego pogranicza Wielkopolski wyjątkowymi walorami plastycznymi. Nie mogą one jednak stanowić podstawy do wydzielenia go z grupy obrazków typu śląskiego, gdyż nie różni się on ani formatem, ani techniką rysunkową czy kolorytem. Jeżeli więc istotnie

na zachodnim pograniczu Wielkopolski ów malarz działał i jeżeli św. Rozalia jest jego dziełem, to stwierdzić trzeba, że trzymał się form i schematów, które sobie na gruncie śląskim przyswoił. Tak więc wszystkie obrazki na szkłe z zachodniego pogranicza Wielkopolski zaliczyć musimy do typu śląskiego.

Jeden obrazek z kolekcji poznańskiej jest jednak wyraźnie inny niż śląskie malowidła na szkłe. Jest to wizerunek św. Wawrzyńca z kościoła w Buczu w pow. kościańskim. W czasie ostatniej wojny uległ niestety rozbiciu. Od obrazków śląskich różni się już formatem (23,5×23 cm) i podklejonym drzeworytem, przedstawiającym świętego w ornaty. Kontur malowany jest na szkłe czarną farbą i obejmuje drzeworyt wraz z dolną partią szat na szkłe domalowaną. Postać świętego otoczona jest luźno rozrzuconymi wielkimi kwiatami, które składają się z czterech sercowatych płatków czarno konturowanych oraz z czterech podłużnych niekonturowanych, prymitywnie żebrowanych i dodatkowych, malowanych od ręki. Płatki konturowane wypełnione są ugiem palonym o odcieniu karminowym, a osobno konturowane ośrodkami — ugiem jasnym, prawie żółtym, przeświecającym. Natomiast ugiem o różnym nasyceniu, aż do tonacji ciemnobrązowej, malowane są płatki niekonturowane. Artysta rzucił na tło obrazu jeszcze kilka kwiatów okrągłych z ząbkowanym brzegiem, konturowanych również czarno i wypełnionych ugiem palonym i niepalonym. Na szatach świętego i jego akcesoriach widzimy te same kolory co na kwiatach. Pod kwiaty, akcesoria i szaty świętego podklejone zostały płatki złota. Cały obraz jest więc utrzymany w brązowo-złotej tonacji, miejscami zaróżwio-

nej, na seledynowym tle. Barwe seledynu daje szkło. Brak śladów zamalowania tła. Obraz pozbawiony jest też linii horyzontu i jakiegokolwiek podstawy, dla stojącej postaci świętego; sprawia wrażenie idealnie płaskie.

Również i sposób łączenia części ram różni obraz od obrazów śląskich.

Obraz ten stanowi wśród wielkopolskich malowideł na szkłe pozycję wyjątkową. O ile chodzi o najbliższe powiązania warsztatowe, to rzecz jasna nasuwają się myśli o obrazach kaszubskich. Za kaszubskimi ośrodkami wytwórczymi przemawiałyby skromność kolorystyczna, podklejony drzeworyt i czarne konturowanie farbą klejową. Ponieważ jednak kaszubscy obraznicy zdaniem Seweryna nie podkładali złota, więc przyjąłoby można, że św. Wawrzyniec jest obrazem wykonanym na miejscu. Trudno jednak na podstawie jednego okazu przeprowadzić dowód istnienia wielkopolskich wytwórni obrazów na szkłe i wypracowania przez nie odrębnego typu malowideł. Malarnie takie mogły jednak powstawać przy wielkopolskich hutach szklanych, rozwijających w XIX w. dosyć znaczną produkcję szkła, żeby choć wspomnieć o Hucie pod Łomnicą w pow. nowotomyskim, której ostatnim właścicielem był ojciec słynnego cyrkowca — Sarazani.

Około połowy XIX w. zamarła sztuka malowania obrazów na odwrocie szklanych tafli. Produkcja już się nie opłacała wobec wzrastającej konkurencji grafiki, zwłaszcza litografii. Zmieniać się zaczął też gust dotychczasowych nabywców. Przestały się podobać obrazki, które należą jeszcze do kategorii przedstawień naiwnych, anaturalistycznych. Ich właściwości formalne

U dołu: św. Benedykt. Powiat wachowski, woj. zielonogórskie. 28×18 cm. Fot. L. Perz. Po prawej: Matka Boska, obrazek na lustrze. 18,5×12,5 cm. Powiat wachowski, woj. zielonogórskie. Fot. F. Maćkowiak.





Toszek. Fragment bramy zamkowej. Fot. F. Chrzastowski.

NA MARGINESIE „ZAMKÓW ŚLĄSKICH”

OBRAZY NA SZKLE

jak brak głębi i perspektywy, dysproporcje, dekoracyjność i jaskrawość najczęściej kolorystyki przypominają ludowe drzeworyty, z którymi wiąże je wspólne podłoże kulturalne.

Kiedyś nagromadzone w dużych ilościach pod niskimi stropami starych chałup tworzyły te obrazki jakby barwne fryzy połyskujące nierównymi płaszczyznami szkła i mieniące się żywymi barwami w ciemnych wnętrzach izb. Gdy ciasne chałupy ustępować zaczęły wiejskim kamienicom, gdy więcej światła przez większe okna do izb przenikało, gdy meble miejskiego typu zapełniać je zaczęły, przyszedł kres na szklane obrazki. Ich żywy kolorystyka nie miał już swego odpowiednika w kwiecistej skrzyni i gryźć się zaczął z nowym otoczeniem. Nawet swoimi wiśniowymi ramkami obrazek na szkle, niegdyś w kolorystycznej zgodzie z innymi sprzętami, teraz stał się powodem estetycznego dysonansu. Większe izby zawieszono obrazami pokąźniejszych rozmiarów z bardziej urealnionym światłem wyobrażeń i wierzeń niż na obrazkach na szkle. Te straciły nawet w wielu wypadkach w oczach właścicieli charakter świętości i dlatego dostawały się do rąk dzieci, które je wytlukły.

K O N I E C

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

Retrospektywna bibliografia geologiczna Polski oraz prac Polaków z zakresu nauk o Ziemi. (Wyd. 1). Zebrała i oprac. (Red. Leokadia Gorzeliska, Danuta Rymśa Zalewska, Krystyna Wiernicka). Cz. 1: 1900—1950. T. 1.: A—L. Warszawa 1957. Wydawnictwo Geologiczne. cm 23,5x17, s. XCIV, 478. Instytut Geologiczny. Muzeum Ziemi.

Gardawski Aleksander, Gąssowski Jerzy, Rajewski Zdzisław Adam.

Archeologia i przedzieje Polski. (Wyd. 1) Red. Z. Rajewski. (Materiał ilustr. przygotowali autorzy. Tabl. A. Gardawski, St. Dębiński. Okł. S[tanisław] Nagel) Warszawa 1957. Państw. Zakłady Wydawnictw Szkolnych. cm 24x17, s. 227, 1 nrb., ilustr., mapy, plany.

M. in.: Informacje o muzeach archeologicznych, konserwatorach zabytków archeologicznych, wystawach, dziełach i zbiorach archeologicznych w innych muzeach oraz Polskim Towarzystwie Archeologicznym. Zl. 15.50.

Gąsiorowska Natalia

Górnicy i hutnicy w Królestwie Polskim 1864—1866. (Wyd. 1) — Warszawa 1957. Państwowe Wydawnictwo Naukowe. cm 24,5x17,5 s. 147,4 nrb., tab., err. Zl. 31.—

Husarski Wacław

Kazimierz Dolny. (Wyd. 2. Okł. Henryk Białoskórski). — Warszawa 1957. Państwowe Wyd. Naukowe. cm 29,5x20,5 s. 141,2 nrb., ilustr., plany, err.

Przedruk z wyd. 1-go przygot. przez Towarzystwo Nauk. Warszawskie. Zl. 36.—

Kmiecińska T., Kaczmarek J.

Przewodnik po Muzeum w Piotrkowie Trybunalskim. — Łódź 1957. cm 20x14,5 s. 30, 5 nrb., tabl. 13.

Kolodziejczyk Ryszard

Kształtowanie się burżuazji w Królestwie Polskim. 1815—1850. (Wyd. 1). — Warszawa 1957. Państwowe Wydawnictwo Naukowe. cm 24x17,5 s. 279,4 nrb., ilustr., portr., bibliogr. s. 272—9, 1 nrb., err.

Badania nad Dziejami Przemysłu i Klasy Robotniczej w Polsce, 3. Zl. 37.—

Korczy Władysław

Lubuski szlak wodny. Przewodnik dla turysty kajakowca. — Zielona Góra [1957] Pol. Tow. Turystyczno-Krajoznawcze. cm 14x10 s. 55,1 nrb., ilustr., pl.

Lencewicz Stanisław

Pisma wybrane z geografii fizycznej Polski. (Wyd. 1. Wybrał i przedmowa Jerzy Kondracki. Tłum. z franc. Maria Chelińska, Irena Gieyszterowa, Wiesława Richling-Kondracka). — Warszawa 1957. Państwowe Wydawnictwo Naukowe. cm 24,5x17 s. 447, 1 nrb., portr. 1. mapa 1 i w tekście. rys., tabl., bibliogr., err., mapy 4. Zl. 60.—

Polska sztuka cehowa. (Red. Izabela Borczowska. — Warszawa 1957 „Arkady”) 16 składek po s. 8 nrb., cm 47,5x15,5 złoz. cm 16x12 w futerale. Zl. 40.—

RECENZJE

Staraniem wydawnictwa „Budownictwo i Architektura” ukazał się z końcem r. 1957 album poświęcony zamkom śląskim, publikacja z wielu względów pożyteczna i udana. Pożyteczna przede wszystkim dlatego, że jest to pierwsze w polskiej literaturze dzieło zapoznające czytelnika w sposób syntetyczny z budownictwem obronnym Górnego i (zwłaszcza) Dolnego Śląska. Udana, gdyż zarówno strona ilustracyjna i tekstowa, jak i sama oprawa graficzna — niewiele pozostawiają do życzenia.

Całość podzielono na trzy części. Pierwsza — to tekst prof. Bohdana Guerquin, jednego z niewielu w Polsce znawców architektury obronnej. Autor relacjonuje stan naszej dotychczasowej wiedzy w zakresie przedmiotu, cytując i omawia literaturę przedmiotu, zarysowuje gospodarcze, sytuacyjne i historyczne motywy, warunkujące w różnych okresach powstawanie śląskich zabytków budownictwa obronnego, dalej zaś — podbudowując obficie tekst cytacjami historycznymi i argumentacją naukową — omawia wszechstronnie typy zamków śląskich i historię ich przemian. Należy bez wszelkiej przesady stwierdzić, że tekst prof. B. Guerquin stanowić może prawie że wzór tego rodzaju publikacji. Nie rezygnując ani z syntetycznego ujęcia, ani też z argumentacji naukowej i samodzielności wniosków — zdołał autor w sposób nader zwięzły (co jest olbrzymią zaletą w naszej literaturze naukowej) powiedzieć to wszystko, co zainteresować może zarówno fachowca, jak i laika.

Sądzę, że ów pozytywny wynik jest w dużym stopniu rezultatem rozsądnej koncepcji części tekstowej. W albumie „Zamki Śląskie” wyodrębniono mianowicie część historyczno-komentarzową od części inwentaryzacyjno-opisowej. Ta ostatnia stanowi część drugą publikacji. Jest to po prostu alfabetyczny wykaz zabytków, zawierający pod każdym hasłem dane orientacyjne (powiat i województwo), skrócony opis, szczegółowe dane historyczne i bibliografic; wszystko to uzupełniono ciekawymi ilustracjami archiwalnymi, planami i inwentaryzacją rysunkową. Efekt takiego właśnie rozbitcia działu tekstowego na dwie uzupełniające się wzajemnie części jest bardzo pozytywny i trudno sobie bowiem wyobrazić, aby możliwym było czytelne włączenie wiadomości inwentaryzacyjno-opisowych w tekst części pierwszej.

Część trzecia — objętościowo najobszerniejsza — to fotografie, wykonane w większości przez Tadeusza Chrzastowskiego.

Fotografie są świetne; scalają w sobie wyraźne ambicje artystyczne za specyficznym podejściem inwentaryzatora, akcentującego umiejętnie motywy ważne ze względów rzeczowych.

Całość wydana została bardzo starannie, na dobrym papierze, z użyciem różnicowanej i umiejętnie dobranej czcionki, zaopatrzona solidną, płócienną oprawą i piękną, barwną obwolutą. Zastrzeżenie wnieść można jedno tylko — ale za to dość istotne. Odnosi się ono zresztą nie tylko do „Zamków Śląskich”, lecz dotyczy ogólniejszego problemu polskich wydawnictw albumowych. Nie rozumiem mianowicie, dla jakich szczególnych powodów wydawnictwa polskie przy publikowaniu wszelkiego typu albumów uparcie spychają na ostatnią kartę autorów zdjęć fotograficznych, stanowiących przecież najistotniejszą bodaj część albumu, zaś na karcie tytułowej całości umieszczają jedynie autora (czy też autorów) części tekstowej. Tak było z

„Ołtarzem Mariackim Wita Stwosza”, gdzie St. Kolowcę wciśnięto na ostatniej karcie pomiędzy metrampaż i fabrykę papieru, tak było w bardzo wielu innych albumach polskich; ostatnio zaś rzecz powtórzyła się znów w pięknie wydanej „Rzeźbie nagrobnej Wita Stwosza” ze wstępem — zresztą bardzo interesującym — Piotra Skubiszewskiego i właśnie w omawianych w tej chwili „Zamkach Śląskich”.

Jest to praktyka pozostająca bez precedensów w wydawnictwach europejskich. Miałem w ręku sporo albumów obcych, częstokroć opracowanych wprost luksusowo, firmowanych przez bardzo poważne wydawnictwa, zapraszających do współpracy uczonych o bardzo znanych nazwiskach — i do prawdy niezmiernie trudno było znaleźć takie, które lojalnie nie akcentowałyby ważności pracy artysty-fotografika. I nie jest to bynajmniej rzecz nowa; warto wspomnieć że już z końcem w. XIX lojalność wydawców albumów sięgała tak daleko, iż na karcie tytułowej umieszczali nazwiska wykonawców rotograviur — a więc ilustracji wykonywanych w sposób bez porównania bardziej mechaniczny, aniżeli dzieła współczesnej fotografiki. Dziś oczywiście wiele się zmieniło w technice wydawniczej, ale bez zmian pozostała prawda, że publikacja albumowa — a takimi były zarówno oba opracowania o Wicie Stwoszu, jak i „Zamki Śląskie” — to przede wszystkim dzieło fotografika, co oczywiście nie przekreśla i nie pomniejsza ważności i wagi tekstu. Jeśli zaś tak właśnie mają się sprawy — to chyba czas najwyższy zerwać z praktyką, która pozbawiona jest i uzasadnień rzeczowych i precedensów w polityce edytorskiej innych krajów Europy. Jest to po prostu kwestia jakiejś bardzo elementarnej lojalności.

TADEUSZ ŻYCHIEWICZ



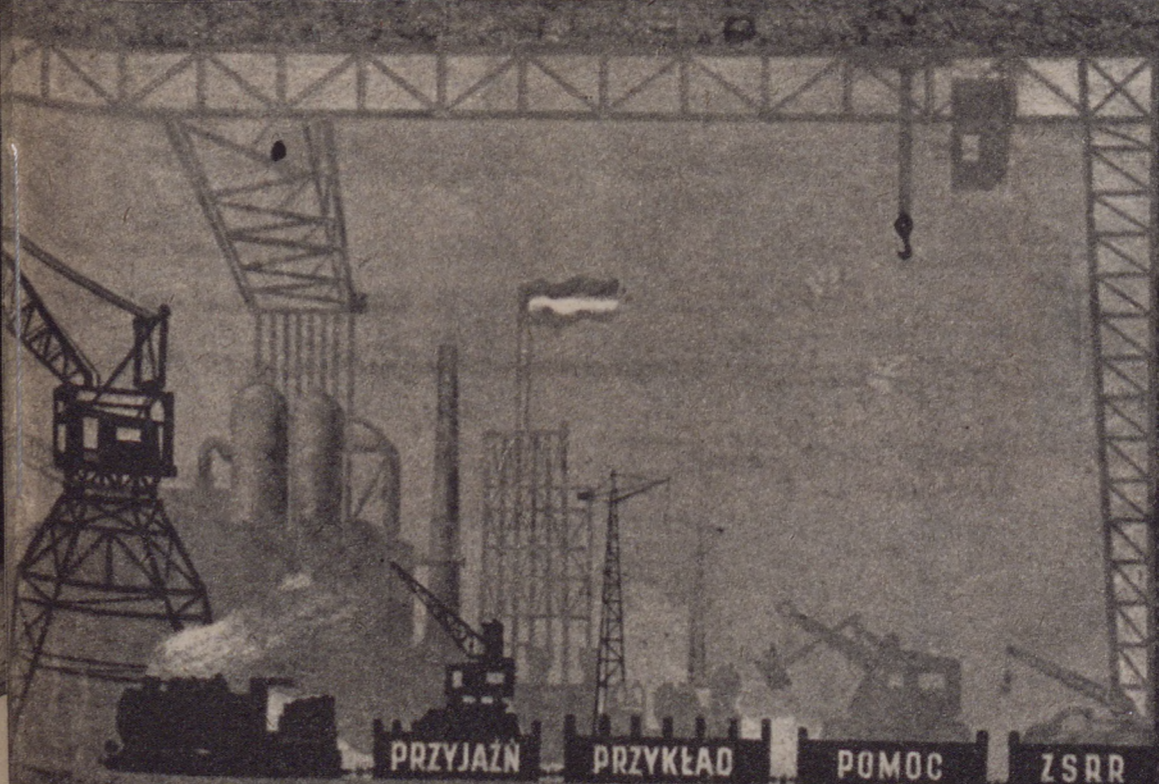
FOTOGRAFIE
W. NOWAK
M. KORNECKI
M. KUCZYŃSKI

MA
LO
WI
DŁA



MALOWIDŁA

P przed paru laty były charakterystycznym szczegółem w obliczu naszych miast i osiedli. Jaskrawe, gigantyczne malowidła już z dala oznajmiały swą treść. Później farby płowiały, zaczynały się łuszczyć. Jedna po drugiej niknęły malowane ściany za murami nowoczesnych budowli. Dziś po owych poglądowych wykresach i symbolicznych scenach pozostały resztki wyblakłych konturów. Dolne partie murów pokryły się plachtami afiszów filmowych. Ale i te raz po raz nikną, zrywane lub zaklejane nowymi. Środki propagandy i reklamy wizualnej to bardzo zmienna i nietrwała gałąź twórczości. Zaledwie cząstka z jej twórców przechowa się w katalogach. Reszta, niknie naogół bezpowrotnie pod warstwą świeżej farby i nowego papieru.





Fot. M. Raczkowski

Na 249 kilometrze rzeki maszynista statku Feliks Bednarski zauważył charakterystyczne falowanie powierzchni wody; była to tzw. „zwara”, świadcząca o istnieniu jakiejś podwodnej przeszkody. Gdy załoga statku, pracującego nad oczyszczeniem Wisły zbadała bliżej ową „zwarcę” — stwierdziła, że jej przyczyną jest potężny pień dębu tkwiący w dnie rzeki. Wtedy sprowadzono dźwig, umocowany na dwóch barkach. Na pień założono łańcuchy i puszczono w ruch wielokrążki.

Jakież było zdziwienie obsługi, gdy wyciągnięty ponad wodę koniec mniemanego pnia okazał 12-metrowym czółnem. Ponieważ zamulone było dnem do góry, przy wstępnych oględzinach robiło wrażenie wielkiego pnia.

Po mozolnym i starannym wydobyciu długiego czółna z wody załadowano je na barkę i przewieziono do portu w Sandomierzu, gdzie troskliwą opieką otoczył je dyrektor rejonu dróg wodnych inż. Marian Wielgosz. Dzięki jego inicjatywie czółno zostało z początkiem 1956 roku przewiezione do Muzeum Archeologicznego w Krakowie, gdzie poddano go szczególnym badaniom i konserwacji.

Czółno jest wykonane z jednego wydrążonego pnia dębu. Boczne burty prawie pionowe o wysokości ok. 45 cm przechodzą w płaskie dno nieznacznie zagłębione w części środkowej. Czółno posiada 106 cm szerokości u rufy w najszerszym miejscu, zwężając się ok. 68 cm w części przedniej dziobu. Tu następuje spłylenie do 28 cm, przy największej głębokości ok. 45 cm w części tylnej. Grubość ścian burt wynosi ok. 4—6 cm. Dno jest płaskie, masywne, cieńsze w kierunku dziobu.

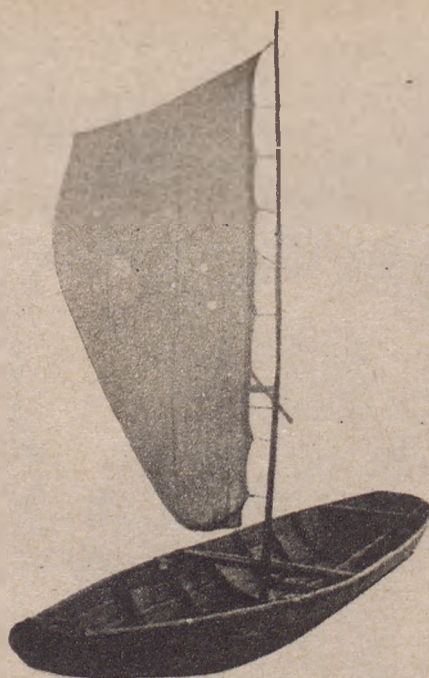
Z urządzeń czółna zachowanych do dnia dzisiejszego zwracają uwagę dwa wystające z dna kwadratowe występy, niewysoka przegroda dzieląca go na dwie części, oraz małe otwory okrągłe lub podłużne pod krawędziami burt.

Zanim przejdziemy do dalszych rozważań nad przeszłością znalezionej okazji, zastanówmy się pokrótce nad historią środków komunikacji wodnej, która jest niemal tak stara jak ludzkość.

Człowiek już od zamierzchłych epok kamiennych chętnie przebywa w pobliżu wody, osiedla się nad brzegami rzek i jezior. Rzeka lub jezioro były w owych czasach magazynem dostarczającym zimą i latem żywności w postaci ryb czy gnieźdzącego się w pobliżu ptactwa, nie wspominając już o tym, że oczywiście dostarczały niezbędnie do życia potrzebnej wody. Poza tym szeroko rozlane rzeki i połączone jeziora stanowiły w owych czasach wygodne szlaki komunikacyjne, przekształcające się z czasem w ważne drogi handlowe. Na nich bardzo wczesnie rozwinęła się żegluga śródlądowa. Być może, że zapoczątkowało ją przypadkowe użycie niesionego przez wodę konaru czy pnia drzewnego, jako środka umożliwiającego bezpieczne przebycie powierzchni wodnej. Fakt ten mógł zwrócić uwagę człowieka na zdolność nośną pływającego drewna i podsunąć myśl celowego wykorzystania drzewa w tym kierunku. Stąd już blisko do stwierdzenia, że kilka pni drzewnych połączonych razem stanowi wygodny środek żeglugi na wodach śródlądowych, czy w przybrzeżnej żegludzie morskiej. Tak powstała pierwsza tratwa, która posiadała poważne zalety — małą wywrotność i możliwość

znacznego obciążenia. Wadą jej natomiast była trudność w kierowaniu i poruszaniu się na wąskich przestrzeniach wodnych. I tutaj znacznie większe zastosowanie znalazły czółna, które zaczęto wykonywać drażąc wnętrza grubego pnia.

Budowa drażonego czółna wymagała już znacznego wysiłku, szczególnie przy ścinaniu odpowiednio grubego drzewa, najczęściej dębu, sosny, topoli czy osiki. Po ścięciu drzewa odcinano z niego pień na wysokości rozgałęzienia konarów. Obciosywano go najpierw z zewnątrz, starając się nadać mu kształt czółna. Rozszerzenie się pnia w kierunku korzeni i zwężenie w kierunku gałęzi nie pozostawało bez wpływu na kształt łodzi. Zwężała się więc ona zwykle w kierunku przednim i kończyła tępym dziobem.



ziemia NIKT JESZCZE OTYM NIE PISAŁ

Najstarszą formę czółna przedstawia okaz wydrążony z pełnego pnia, wyższą formę wydrążony tylko z połowy. Tutaj zaznacza się już świadomość, że wielka wysokość burt ponad linię wody zwiększa ciężar statku i jest bezużyteczna.

Jak dowodzą badania szwajcarskich osad palowych, czółna drażone z jednego pnia znane już były w młodszej epoce kamiennej. Tego typu neolityczne czółno znany również z terenu Wielkopolski. Czółen drażonych używano w epokach brązu i żelaza. Z wczesnego średniowiecza znany kilka czółen odkrytych w osadach nawodnych w Poznańskim, na Pomorzu i Śląsku. Prymitywny typ czółen drażonych przetrwał aż do czasów nowożytnych w całej niemal Europie. Jeszcze obecnie na niektórych jeziorach szwajcarskich używa się takich czółen do przejażdżek, zaś w niektórych miejscowościach, na Śląsku żywe jest jeszcze wspomnienie tego rodzaju środków lokomocji pływających po Odrze. Poza Europą, używano je w Indiach, na Półwyspie Arabskim, w środkowej i południowej Afryce, w Australii, Polinezji, Melanezji, północnej i południowej Ameryce. Spotkać je można jeszcze dziś, ba, nawet popływać na nich po Dunajcu. Spływ bowiem Czor-

Fot. K. Bielenin

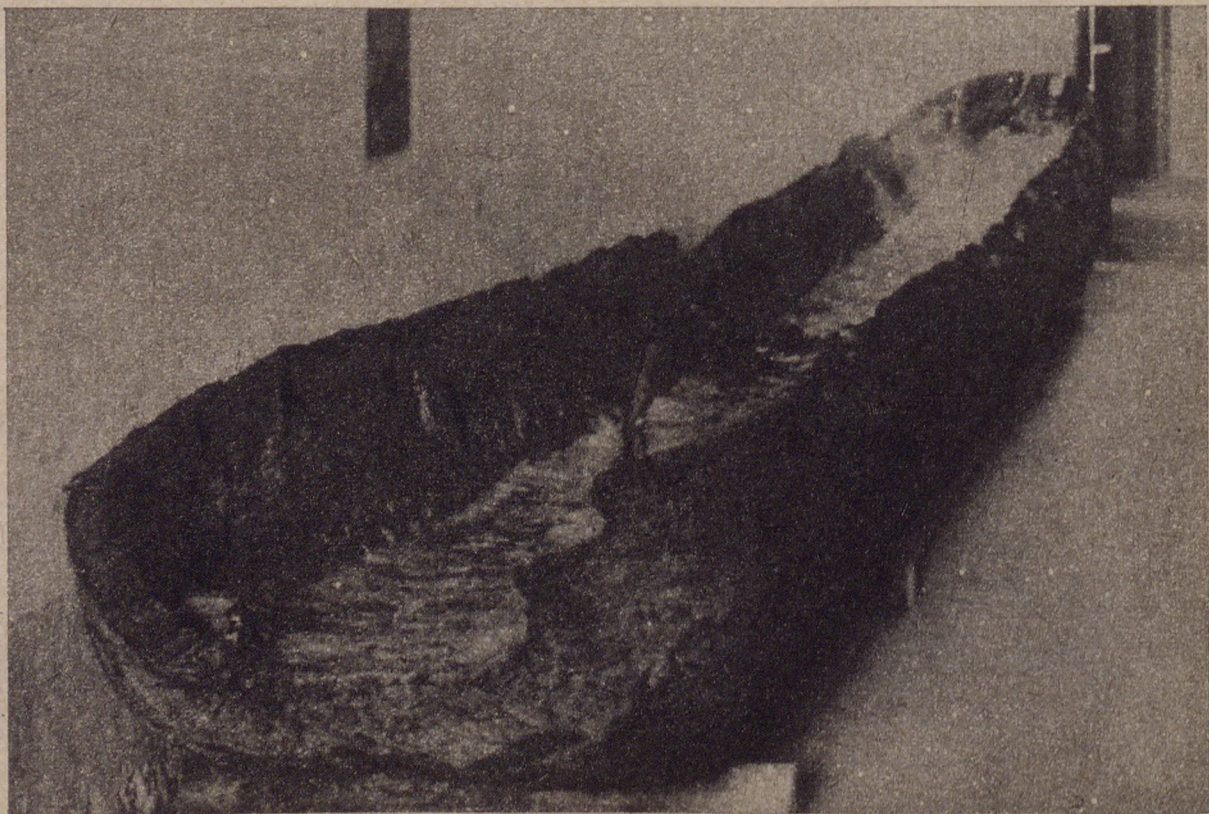
sztyn—Szcawnica dokonywa się właśnie na takich czółnach, drażonych z lipowym pniu i złączonych po cztery w tratwę. Drażone czółno używane są również na Narwi.

Jak już wspomniano, znany wypadek odkrywania w szwajcarskich osadach palowych takich prymitywnych łodzi. Jest to jednak wypadek tak wyjątkowo szczęśliwy, jak zachowanie się i odkrycie samych osad. Najczęściej jednak odkrycie takiego czółna dokonuje się w znacznie gorszych dla niego warunkach. Znajduje się je zwykle na tzw. złożu wtórnym w warstwach namulonych przez wodę, bez żadnych zabytków towarzyszących, które mogłyby umożliwić choćby w przybliżeniu jego datowanie. I w tym wypadku fakt że łodzie te przetrwały w niemalże niezmiennym postaci od neolitu po czasy nowożytne stwarza podstawową trudność w ściślejszym określeniu wieku takiego zabytku.

Rzecz charakterystyczna, iż u Słowian spotyka się wyjątkowo bogate nazewnictwo czółen z jednego pnia. Najwłaściwszą jednak nazwą jest „czółno”. Pochodzi ona od prasłowiańskiej nazwy „czoln” — kłoc drzewny. Słowianie swymi umiejętnościami budowy czółen drażonych z jednego pnia dali się poznać światu antycznemu w V i VI wieku n. e. na Bałkanach, gdy zaczęli niepokoić korsarstwem cesarstwo wschodnie. Pisarze bizantyjscy podają szereg wzmianek o słowiańskich łodziach drażonych z jednego pnia, nazywając je monoksylos (czółno jednopienne). Słowianie posługiwali się masowo wyrabianymi na miejscu monoksylosami w komunikacji wodnej po Dunaju i innych rzekach ówczesnej Tracji. W miarę rozprzestrzeniania się na półwyspie Bałkańskim, wypływają na takich właśnie monoksylosach na łupieskie wyprawy nawet na Morze Egejskie, pustosząc Tessalię i okoliczne wyspy greckie. Grasuja również na Adriatyku, pładrują tereny dzisiejszej Albanii. Z tekstów starożytnych dowiadujemy się o użyciu przez Słowian wielkiej ilości tych czółen w oblężeniu Tesalonik w drugiej połowie VII wieku n. e., a w roku 626 n. e. flotylla słowiańskich monoksylosów współdziałała z Awarami i Persami w oblężeniu Konstantynopola.

Z innego opisu jednej z walk Bizantyńczyków ze słowiańskim wodzem Muzokiosem „zwanym przez barbarzyńców rex” wynika, że 30 wiosłarzy prowadziło 150 takich czółen. Flotylla ta zabrała trzy tysiące ludzi przewożąc ich przez rzekę. Na tej podstawie możemy wnioskować, że monoksylosy łącznie po 5 razem, przy czym jedno czółno zabierało 20 osób.

Do tych tradycji żeglarskich nawiązują w kilka wieków później odważne wyprawy Słowian nadbałtyckich. Wypraw tych jednak dokonywali oni już



nie w czołnach, lecz — podobnie jak ich sąsiedzi z północy, Wikingowie — w masywnych łodziach z grubych desek, mogących pomieścić około czterdziestu osób.

Drażone z jednego pnia dębu długie na 12 metrów czołno z Wisły pod Machowem posiada charakter czołna transportowego. Może pomieścić ok. 20 ludzi. Małe otwory po obu stronach pod krawędzią burty wskazują, że czołno było łączone z kilkoma innymi w jedną całość. Taka jednostka pływająca zyskiwała na pojemności i równowadze, umożliwiając również przewóz większej ilości ładunku nawet takiego, jak konie czy krowy.

Czołno to jest pierwszym tego rodzaju okazem znalezionym na obszarze Górnej Wisły. Kiedy było używane i jakie towary przewoziło, można będzie powiedzieć dopiero po przeprowadzeniu szczegółowych badań.



Fot. Mirosław Raczkowski

K O N I E C

HUTA SZKŁA W LUBOMIERZU I LIPA W PODOBINIE

„Gorce, choć nie imponują wyniosłością szczytów, są niewyczerpanym skarbem malowniczych widoków. W szczególności dolina rzeki Kamienicy fascynuje turystę pejzażami w małym wprawdzie formacie, lecz łączącymi w sobie wszystkie elementy natury górskiej: lesiste łańcuchy gór po obu brzegach, rozciągnięte polany i bieg dzikiego strumienia, toczącego z hukiem spienione wody po kamieniach. W środku północnego biegu dolina tworzy kotłinę, w której leży przysiółek Rzeki”.

Kazimierz Sosnowski zastał tu tylko kilkanaście chat, karczemkę, leśniczówek i tartak firmy Ader. Ale turysta ciekawy także dawnych dziejów regionu dowiedziałby się od starych ludzi, że „na Rzykach” — bo tak lud mówi — pracowała prawie do końca XIX w. huta szkła. O tej hucie, o jej pracownikach i wyrobach utrzymuje się wśród miejscowego ludu coraz bardziej blednąca tradycja, której okrucy zasługują na zanotowanie.

Huta musiała być nowszej daty, ponieważ nie wspomina o niej Dobrowolski w pracy „Dzieje wsi Niedźwiedzia w powiecie limanowskim” (1931) — w której omawia wszystkie zakłady przemysłowe dworu w Porębie Wielkiej, powstałe przez 1772 r. Stała na polanie Trusiówce. W piecach hutniczych palono drzewem bukowym z miejscowych lasów, potaż wyrabiano we wsi Koninie w miejscu, które dotąd nazywa się Potasznia, a piasek niezbędny do fabrykacji szkła sprowadzano furmankami z Tęczynka pod Krakowem. Do Tęczynka odsyłano też całą produkcję huty. W hucie pracowali wyszkoleni robotnicy sprowadzeni z Czech, narodowości czeskiej i niemieckiej, a oprócz tych także ludzie miejscowi, poddani dworu w Porębie W., odrabiający obowiązkową pańszczyznę. Dookoła huty powstała mała kolonia,

z której wytworzył się dzisiejszy przysiółek. Hutnicy żyli się z góralami, pożeni się z ich córkami, a potomstwo przeszło do warstwy wieśniaczej i swej genealogii już nie pamięta. Tylko niektóre nazwiska świadczą jeszcze o pochodzeniu obcym ich nosicieli, jak Nachmann, Kochmann oraz inni.

Hutnicy wydmuchiwali butelki („szyje mieli rozdęte jak dziki” — głosi relacja), a ubocznie maglowniki do gładzenia bielizny dla gospodyń wiejskich, gdy żelazka do prasowania na wsi nie były jeszcze znane, a także rogi szklane i trombity dla pasterzy bydła na polanach. W rodzinnym domu ob. Melchiora Zapalę z Lubomierza, któremu niniejsze szczegóły zawdzięczamy, był przechowywany przez długie lata szklany róg o podwójnym skręcie, który służył wartownikom wiejskim do dawania sygnałów w czasie służby nocnej. Zaopatrzony był w mundszuk, zadęcie weń było lekkie, a dźwięk nader czysty, wolny od szmerów. Nareszcie, w hucie na Rzekach odlewano dzwony i dzwonki szklane. We wsi Podobinie utrzymuje się o takim dzwonic tradycja jeszcze świeża, zabarwiona nieco cudownością.

W osiedlu u Jamroza rosła sędziwa lipa, może 400 lat licząca, na której wisiał szklany dzwon. Była ona otoczona prawie religijnym pietyzmem. (Wzmiankę o niej można znaleźć w roczniku XVI „Wierchów” z 1938 r. na str. 192). Przywilej dzwonienia posiadała rodzina Janiszewskich, których we wsi nazywano Prusami, ponieważ ich pradziad przybył z Prus uciekający przed służbą wojskową. Najstarszy w rodzinie Prusów człowiek dwa razy dziennie, w południe i wieczór, pociągał za linę dzwonu, a gdy jego nieskazitelnym dźwiękiem rozpyływał się po wsi, ludzie żegnali się i odmawiali Anioł Pański. Kto był inicjatorem pomysłu zawieszenia szklanego dzwonu

na wiekowej lipie, tego nikt nie potrafi wyjaśnić. Natomiast bliski jest prawdopodobieństwo, że pochodził on z daru Andrzeja Janiszewskiego, który w połowie XIX w. był pisarzem w hucie. Szklany dzwon nawoływał ludzi do modlitwy i czas im odmierzał przez kilkadziesiąt lat, aż jednego roku został rozbity kamieniem przez wiejskiego łobuza. Janiszewscy sprawili nowy na jego miejsce, także szklany, który pękł wśród dziwnych okoliczności około 1895 r. Na bezpośrednio sąsiadującym osiedlu, u Rogi, zmarł w rodzinie Miechorczyków dorosły chłopak imieniem Sobek. Gdy trumnę z domu wynoszono, ktoś pociągnął linę, dzwon po kilku wabnięciach pękł wydając zgrzytliwy dźwięk. „Przeznaczeniem jego bowiem było wzywać do modlitwy, a nie żegnać umarłych” — utrzymuje lud. Na pogrzebie zaszedł też dziwny wypadek. Siostra zmarłego, która nad grobem stała jeszcze po odejściu wszystkich uczestników, usłyszała krzyk i uderzenie o ściany trumny. Pospieszyła natychmiast na plebanię z tą wiadomością. Proboszcz kazal natychmiast otworzyć trumnę. Gdy wieko odbito, znaleziono zwłoki w pozycji zmienionej. Głowa była zwrócona w bok, a na wargach miał zmarły pianę i ślady krwi. Wynikało stąd, że został pochowany żywym i w trumnie się udusił.

Zabytkowe drzewo przestało istnieć w dniu 29 czerwca 1938 r. Było zewnątrz wybutwiałe, cienkie ściany pnia nie mogły już dźwigać rozłożystej, ciężkiej korony i gdy wyjątkowo silny wicher uderzył w jej konary, lipa runęła w samo południe. Ludzie wracający z nabożeństwa w kościele z załem przystawali nad tą ruiną i snuli rozważania i wspomnienia jak po zgonie osoby krewnej i kochanej.

SEBASTIAN FLIZAK

SZTUKA LUDOWA W PARYŻU

POLSKA



W grudniu i styczniu 1957/58 odbyła się w Paryżu wystawa polskiej sztuki ludowej. Reprezentowane były na niej prawie wszystkie regiony Polski. Pokazano rzeźbę, obrazy ludowe, ceramikę i tkaniny. Impreza cieszyła się dużą frekwencją i odniosła znaczny sukces. Prasa paryska pochlebnie oceniła ekspozycję wystawy i artystyczne walory polskich wyrobów ludowych. Ekspozycje zostały sfilmowane przez francuską telewizję, która następnie w marcu b. r. wysłała na Podhale własną ekipę. Przedmiotem zainteresowań filmowców były tu obok krajoobrazu zabytki podhalańskiej sztuki.



BIBLIOGRAFIA C.D.

Łukaszewski L., Oleszanik A [leksander] Piosenki ludowe z Podlasia. Na chór żeński lub dziecięcy. (Wyd. 1). 1: Ej koleś, koleś; A tam w lesie; Tam na jeziorze; Anim ja siala; Oj dziwią się ludzie. 2: Idzie chmura; A w tym polu; U mojej mamy w komorze; Oj chodzę, oj chodzę; Tam za górami; Poszła Kasia po wodę. (Kraków 1957—1958. Pol. Wyd. Muzyczne) cm 24X17, s. 11,1 nlb., s. 13,1 nlb.

Polska Pieśń Ludowa, 32—33. — Znak wyd. PWN 2910—2911 po zł. 5.—

Olszewicz Bolesław Geografia polska w okresie Odrodzenia. — Warszawa 1957. Państwowy Instytut Wydawniczy. cm 24X16,5 s. 61,3 nlb., tabl. 8, Krat. izlez., Res.

Polska Akademia Nauk. Instytut Geografii. — Prace Geograficzne, nr. 12. — Odb.: Odrodzenie w Polsce, t. 2, 1956. Zł. 15.50

Pilecki Waclaw Zamek w Będzinie. (1358—1958) Teka graficzna. Oprac. graf. Jan Skoluda. — (Katowice [1957] Wydawn. Artystyczno-Geograficzne. Spół. Komitet Odbudowy Zamku i Muzeum) cm 43X31 k. 4 nlb., plansz 12 luz. w tece.

Ligocki A.: [Wstęp] — Błaszczak W.: [Wstęp]

Rzepniewski Andrzej Obrona Wybrzeża w 1939 roku. — (Warszawa 1958) Państwowe Wydawnictwo Naukowe. cm 24X17 s. 47,1 nlb.

Polska Akademia Nauk. Instytut Historii. Komisja Koordynacji Badań nad Dziejami II Wojny Światowej. — Odb.: Najnowsze dzieje Polski, t. 1, 1957. Zł. 11.—

Studia z historii budowy miast polskich. (Wyd. 1) — Warszawa (1957) „Arkady” cm 29,5X21 s. 276,2 nlb., pl. 8 i w tekście, ilustr., bibliogr. s. 11—14, Rez., Sum. Zł. 110.—

Tessare Irena Warszawa w obrazach i rysunkach XIX wieku. Katalog zbiorów Muzeum Historycznego w Warszawie. (Wyd. 1) — Warszawa 1957. Centrala Wydawnicza Druków. cm 24X17 s. 86,3 nlb., tabl. 16, bibliogr. poz. 62.

Muzeum Historyczne w Warszawie. — Studia i Materiały.

P T A K I

Do Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Gralowie (pow. Płońsk) zgłosił się rolnik ze wsi Kielbowo, przynosząc dwa nieznanne mu ptaki wielkości gęsi. Ptaki te znalazł na swym polu. Dały się schwytać nadspodziewanie łatwo. W Prezydium posługując się książką Wł. Puchalskiego „W krainie łabędzia” oznaczono je jako nury czarnoszyje, rzadkie i znajdujące się pod ochroną. Ptakami zaopiekował się Wojewódzki Konserwator Przyrody. Nur czarnoszyi, typowo wodny ptak, nogi ma przystosowane wyłącznie do pływania. Poderwać się do lotu może jedynie po dłuższym starciu z wody. W czasie przelotu czasami zmęczone nury wodują na zbyt płytkich kałużach w polu i wtedy są bezwładnione.

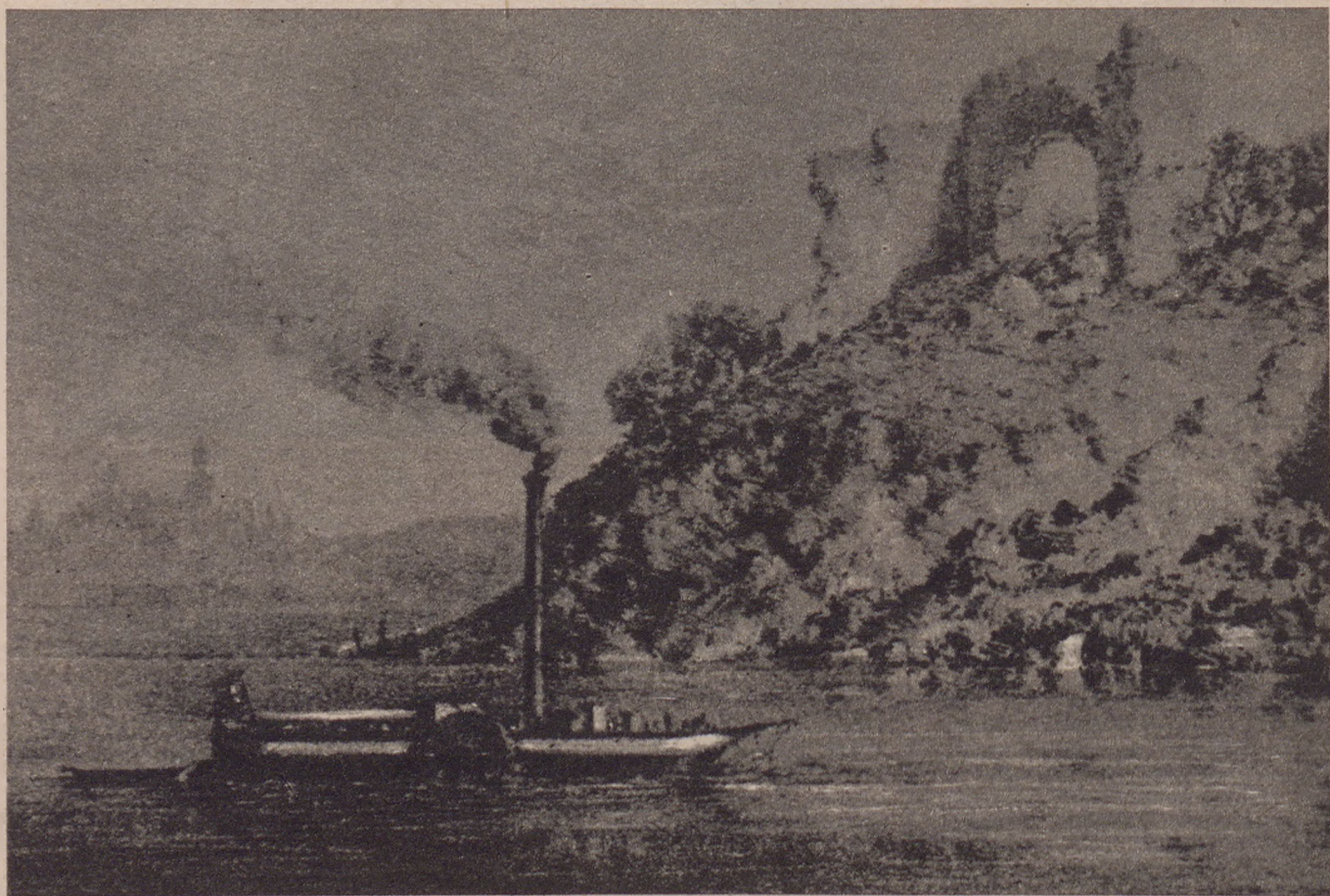
WYSTAWA

W maju i czerwcu br. pracownicy Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej w Krakowie, zorganizowali w lokalu Biblioteki w związku z Dniami Oświaty, Książki i Prasy, wystawę p. n. „Ochrona Przyrody i Zabytków Kultury w pracy dydaktyczno wychowawczej szkoły”. Celem wystawy jest zwrócenie uwagi nauczycieli na potrzebę i obowiązek zainteresowania młodzieży zagadnieniami szeroko pojętego krajoznawstwa i ochrony przyrody. Ciekawie pomyślana ekspozycja nawiązuje w działach problemowych do programów szkolnych jako podstawy nauczania, a następnie wskazuje na możliwości ich realizacji w ramach zajęć szkolnych, wycieczek krajoznawczych, zwiedzania muzeów itp. Dwie wielobarwne mapy przedstawiają rozmieszczenie rezerwatów i zabytków przyrody na terenie województwa krakowskiego, oraz przykładową trasę wycieczki do Ojcowa z oznaczeniem wszelkich godnych zwiedzenia obiektów. Miło nam podkreślić, że w ekspozycji zostały wykorzystane egzemplarze Ziemi.

JAK WYGLĄDAŁY NAJSTARSZE PAROWCE NA WIŚLE ?

Jak wiadomo, po niefortunnych próbach wprowadzenia żeglugi parowej na Wiśle w trzecim dziesięcioleciu XIX wieku (patrz Z. Brocki: Parowce, Ziemia 2/58) — statki parowe pojawiły się na głównej rzece Polski ponownie około roku 1840. Ich wygląd ukazują nieliczne ilustracje z tego czasu, zamieszczone w czasopismach ilustrowanych.

Niewątpliwie interesującym będzie więc dla nas parowiec wiślany, wyrysowany na widoku, przedstawiającym ruiny zamku w Złotorii k. Torunia. Rycinę wykonał znany ilustrator zabytków i widoków z Polski, Napoleon Orda, między r. 1850—60. Wygląd statku możemy traktować jako wierny, mając na uwadze fakt, iż Orda w swych widokach, zgodnie z ówczesną praktyką, przywiązywał dużą wagę do charakterystycznych szczegółów rysowanych obiektów. Pewne zaś nieścisłości dotyczyły przede wszystkim wydobywania i podkreślenia malowniczości krajobrazu i architektury. (mk)



CO PISZĄ INNI ?

Dzisiejszy stan turystyki ...

Ażeby zrozumieć dzisiejszy stan naszej społecznie prowadzonej turystyki i wyciągnąć w stosunku do niej rozsądne wnioski na przyszłość, musimy zdać sobie sprawę ze zjawisk i idei, które doprowadziły do powstania dwu najstarszych polskich organizacji turystycznych: Polskiego Tow. Tatrzańskiego i Polskiego Tow. Krajoznawczego. Próbą omówienia źródeł i rozwoju polskiej turystyki na tle ówczesnego ruchu turystycznego w Europie, jest artykuł Tadeusza Kryszkowskiego pt. „Pierwsze organizacje turystyczne w Polsce (PTT i PTK)”. Artykuł ten ukazał się w kwartalniku Ruch Turystyczny (nr 2/57) wydawanym w Warszawie przez Zakład Prawnych i Ekonomicznych Zagadnień Turystyki SGPiS.

Mimo że już w okresie międzywojennym oba Towarzystwa straciły swą faktyczną pozycję monopolistyczną ich wpływ na kształtowanie się polskiej turystyki był nadal bardzo poważny. A i dziś, jak pisze T. Kryszkowski.

„...tradycje PTT i PTK są tak silne i ciągle jeszcze żywe, iż mimo odmiennych warunków Polski sprzed 1914 r. i Polski tzw. dwudziestolecia tradycje te dzisiaj, niejednokrotnie jeszcze wpływają decydująco na kształtowanie naszego społecznego modelu turystyki — i to zarówno od strony pojęć o celowości i zakresie turystyki, jak i od strony praktycznych koncepcji organizacyjnych

Istniejące wyobrażenia, przyzwyczajenia i nawyki myślowe w tej dziedzinie — dobre czy złe, aktualne czy zdeaktualizowane, przez sam fakt, że istnieją i oddziałują, są realiami z którymi nie można się nie liczyć”.

W dalszym ciągu artykułu nakreśla autor sytuację europejskiego ruchu turystycznego w okresie jego dziewiętnastowiecznych początków.

„Pierwsze organizacje turystyczne powstały w różnych krajach mniej więcej w tym samym okresie. Są to: angielski Alpin Club założony w 1857 r., Oesterreichischer Alpenverein — w 1862 r., Schweizer Alpen Club i Club

Alpino Italiano — oba w 1863 r., Deutsche Alpenverein — w 1869 r., szóstę z kolei Polskie Towarzystwo Tatrzańskie w 1873 r., węgierski Magyar Karpát Egyesület oraz Club Alpin Français — 1874 r.

W związku z powyższym nasuwa się pytanie: dlaczego właśnie w tym okresie, na przestrzeni stosunkowo krótkiego czasu, gdyż w ciągu niecałych 20 lat, w wielu krajach europejskich powstaje samorzutnie szereg organizacji turystycznych.

Odpowiedzi na to pytanie szuka autor w przemianach gospodarczych, politycznych, społecznych i kulturalnych jakie dokonały się w Europie XIX wieku.

„Dzięki tym przeobrażeniom powstaje podatne podłoże, na którym turystyka może się rozwijać. Wypoczynek staje się zrozumiałym i uzasadnionym, podróże są łatwiejsze, a bogacące się warstwy średnie i ciągle powiększające się kadry inteligencji zawodowej zaczynają się ruszać, zaczynają w wolnych chwilach uciekać z zatłoczonych miast, zaczynają odkrywać i podziwiać różne zakątki swego kraju, zaczynają wreszcie dochodzić do sztuki łączenia rozrywki i wypoczynku z „poznawaniem” w szerokim tego słowa znaczeniu”.

Tymczasem w Polsce — „Inaczej układały się bodźce, które do turystyki zachęcały. Jest to zupełnie zrozumiałe, gdyż w tych czasach w Polsce o cokolwiek by nie chodziło, a więc o rozrywkę czy wypoczynek, to automatycznie było związane z wielką, zasadniczą sprawą, co do której jest rzeczą zrozumiałą, że przynosiła swym naturalnym ciężarem wszystko inne”.

Ciążyła ona wyraźnie na wszystkich zjawiskach kulturalnych naszego kraju. „... w Polsce nawet treść niektórych słów w tym czasie powstałych ukształtowała się inaczej niż w innych krajach. Słowa te służyły innym pojęciom, gdyż inne spełniały zadania, do innych prowadziły celów. Np. wyrazy „krajoznawstwo” czy „krajoznawca”; w naszym rozumieniu tych słów nie ma odpowiedników w innych językach europejskich.

Dla wolnych narodów znać swój kraj i kochać go było zawsze zjawiskiem, którego nie ma potrzeby specjalnie objawiać czy akcentować... W kraju, w którym przez wiele lat zabronione było nauczanie historii i geografii ojczystej, w kraju, gdzie dla podróży z zadowolenia trzeba było przezwyciężać trudności wyrosłe na granicach 3 zaborów — oczywiście ze słowami „krajoznawstwo” czy „krajoznawca” wiązała się treść patriotyczna.

„Poznać swój kraj” — slogan zdawałoby się politycznie niewinny i nie obowiązujący — w Polsce nabierał złowrogich odcieni. Po pierwsze — co to jest „kraj”, skoro istnieją jedynie 3 różne państwa: Rosja, Niemcy i Austro-Węgry? „Poznać”? „Co” poznawać? A do tego „swój” kraj! Jak swój? — pachniało to zdecydowanie działalnością wywrotową czy wręcz antypaństwową.

W Polsce, po bolesnych doświadczeniach powstań narodowych zrodziła się po roku 1863 myśl polityczna, stojąca na gruncie tzw. „pracy organicznej” tj. dążenia do niepodległości nie z bronią w ręku... ale na drodze pracy pokojowej, pracy od podstaw... Siła ekonomiczna... mroźca praca, szerzenie oświaty, rozwój nauk przyrodniczych, podtrzymywanie w 3 zaborach jedności ducha narodowego, a więc nacisk na znajomość historii i geografii całego terytorium historycznej Polski — oto wytyczne dla dobrego Polaka, mogącego tylko na tej polownej, ale skutecznej drodze zbliżyć do upragnionego celu.

Bezpośrednia działalność polityczna, czy choćby społeczno-narodowa nie była możliwa. A turystyka? — nowa zupełnie, nieznaną dziedziną, nie zakazana żadnymi ukazami carskimi czy przepisami c. k. namiestnictwa? Właśnie dlatego, że nieznaną, nie było gotowych wzorów do naśladowania, można było to pojęcie wypełnić taką treścią, jaka w tych warunkach odpowiadała potrzebom społeczeństwa.

W ówczesnej Polsce, tak bardzo pozbawionej normalnego rozwoju instytucji kulturalnych, szkół wyższych, instytucji naukowych, organizacji społecznych, związków, towarzystw itp. — potrzeby tego typu były olbrzymie. Stąd do nowej, dozwolonej działalności społecznej włączono wszystko to, co na innej drodze nie mogło znaleźć swego ujścia”.

Toteż obok wycieczek po kraju, budowy schronisk, znakowania szlaków, akcji odczytowej i propagandowej wśród dorosłych i młodzieży, wydawania przewodników i opisów geograficznych historycznych prowadzono akcje ochrony przyrody i zabytków, zakładano muzea, popierano twórczość ludową, prowadzono działalność wydawniczą i naukowo-popularyzacyjną. Ponadto wreszcie popierano badania naukowe zarówno z dziedziny nauk humanistycznych jak i przyrodniczych i utrzymywano kontakt z zagranicznymi instytucjami o zbliżonym charakterze.

Tym celem służyć powstałe w obu zaborach dwie polskie organizacje: PTT i PTK. Polskie Tow. Tatrzańskie po-

wstaje wcześniej, bo w roku 1873. W zaborze rosyjskim dopiero w początkach XX w. stosunki polityczne ulegają pewnej liberalizacji wywołanej klęską wojenną i wstrząsami rewolucyjnymi. I dopiero wówczas może tu powstać w roku 1906 druga polska organizacja turystyczno-krajoznawcza, Polskie Tow. Krajoznawcze... Przegłądając roczniki Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego, Wierchów, Ziemi, opisy zjazdów, przemówień, sformułowań i wskazań z tamtych czasów” pisze po obszernym omówieniu działalności obu Towarzystw Tadeusz Kryszkowski i odtwarzając sobie w ten sposób sylwetki ówczesnego pokolenia — wydaje się, że się tych ludzi dobrze zna i tylko nie można zrozumieć, że wśród nazwisk Świerców i Janowskich nie natrafia się na nazwiska dra Judydy czy inż. Ryszarda Nienaskiego. Tak, znamy tych ludzi z Żeromskiego, chociaż Żeromski nie ich opisał. Ta sama psychika, ten sam klimat.

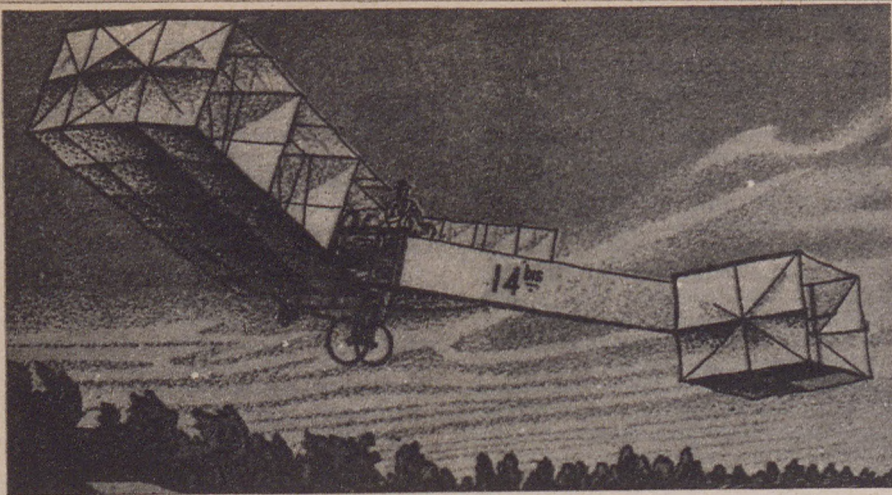
„O ile w innych krajach mających swój normalny rozwój życia narodowego jednym z potężnych bodźców współdziałających w tworzeniu stowarzyszeń był bodziec materialny, bodziec obrony lub wzmocnienia wspólnych interesów czy to wycieczkowiczów, czy właścicieli schronisk, o tyle w Polsce komercyjna strona zagadnienia stała w cieniu, jako pomocnicza, mniej istotna, gdyż nie o nią przecież chodziło.

Na zachodzie Europy turystykę organizowali przede wszystkim ludzie wyuczający potrzeby rynku, w Polsce — przede wszystkim społecznicy ożywieni poczuciem misji kulturalno-narodowej...”

Obie organizacje po ostatniej wojnie wznawiają swą działalność, a w roku 1950 łączą się w Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze.

„Szerokie horyzonty i niekomercyjne cele PTT i PTK w zasadzie pasowały do nowotworzonego PTTK, mającego również pełnić szczytne zadanie wychowawcze, zadania wielkiej misji. Jednakowoż łączenie starych aktywów w oparciu o tradycyjne ambicje z nowymi kierunkami — nie wydało — jak dotychczas najlepszych rezultatów.

Dlaczego tak się stało? Jakie były tego powody? Odpowiedzi na te pytania należałoby szukać w analizie współczesnej działalności organizacji turystycznych w Polsce z PTTK na czele. To jednak, jak pisze T. Kryszkowski, wymagałoby omówienia w odrębnym artykule.



KRAJOZNAWCY NA

AEROPLANY

trem, chlebakiem, manierką, mapnikiem i — nierzadko — raportówką. Trudno doprawdy wyobrazić sobie takich ludzi w kostiumach aeronautów. A jednak...

Tygodnik Wojsk Lotniczych i OPL OK „Wiraze” (nr 7/58) zamieszcza notatkę pt. *Nowe prototypy samolotów turystycznych*. Chodzi tu o 3 prototypy lekkich samolotów sportowych, pomysłu naszych konstruktorów z warszawskiej i mieleckiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Samoloty te miałyby zastąpić dotychczas używane maszyny przestarzałych typów. W tym roku prototypy będą przechodziły próby w locie. Pierwszy z nich, „popularny dwumiejscowy samolot turystyczny” opracowany został przez zespół inżynierów z warszawskiej WSK, pod kierownictwem St. Lassoty. Nowy samolot, nazwany popularnie „szczeniakiem” — będzie wyposażony w polski silnik, skonstruowany przez inż. W. Narkiewicza. Samolot ten, mimo całkowicie metalowej konstrukcji, waży zaledwie 338 kg. Wstępne obliczenia wskazują, że koszt tej maszy-

ny przy produkcji seryjnej — która można by rozpocząć w 1960 roku — wyniosłby około 300 tysięcy złotych.

Dalsze dwa prototypy skonstruowano w WSK-Mielec. Do nauki „wyższego pilotażu” — chodzi tu zapewne o pilotaż krajoznawczy — przeznaczony jest samolot treningowo-akrobatyczny „M-2”. Samolot jest dwumiejscowy, z podwójnym układem sterowania — dla instruktora i ucznia.

Samolot „S-4”, stanowi ewolucję trzech poprzednich typów „S”. Jego przeznaczeniem jest holowanie szybowców.

Cieszymy się, że polscy konstruktorzy lotniczy mogą znów rozwinąć swą twórczą działalność, nawiązując do świetnych tradycji polskiej myśli w tej dziedzinie wiedzy. Wątpliwości natomiast budzi przymiotnik „turystyczny”, jakim określono te sportowe samoloty. Trudno uwierzyć, by te dwuosobowe maszyny odegrały — przynajmniej w najbliższych latach — jakąś poważniejszą rolę w turystyce polskiej.

W którymś z postrzępionych numerów przedwojennego „Turysty w Polsce” znalazłem artykuł o nowopowstałej gałęzi turystyki — turystyce lotniczej. Tak jest. Okazuje się, że już na dobrych parę lat przed wojną zastanawiano się u nas nad możliwością uprawiania turystyki własnym samolotem. Mimo to

jakże nieprzekonywująco i egzotycznie wygląda w dzisiejszych warunkach ta wizja turystyki lotniczej. Nabyt przywykliśmy do łączenia terminu „turysta” w najpopularniejszym tego słowa znaczeniu z postacią w spełnionym zielonym skafanderku, wyszarżanych porciętach i zabłoconych trampkach, objuczoną tornis-

mu trzeba albo czekać na targ trzech-tygodniowy, albo jeździć do Nowego Sącza.

Mieszkaństwo tutejsze bardzo pracowite. Przed targiem i po targu domki oświetlone i czeladź przy pracy; wałęsających próżniaków niewiele i znani każdemu, równie jak pijacy. Podczas zbiórki codziennie stała rubryka w aptece jest: spirytus mydłany na przemożenie w robocie. Nierzadki człowiek umierający z przesielenia w pracy. Pracując trzeźwo i modląc się nad grobem swej dziadzičky świętej nie są wrogami pokolenia młodszego: dzieci uważają za błogosławieństwo nieba, wycuczają pracy i nie łamią sobie głowy, czy tam z tego koniecznie będzie jakieś paniątko kapryśne od zbytku. Rojne to miasteczko dostarcza też zakonnic, księży, urzędników, nauczycieli, a przede wszystkim rzemieślników i gospodyń, lub służebnic dworskich. Aż po Kraków i Tarnów przeważnie Starosądeckie Kunkusie kluczniczą, szyją, i haftują po dworach i plebaniach.

Dziecko 3-letnie musi już samo iść kupić kawy, cukru, świecy, a dość często w sklepie pana Christa szarą godziną można słyszeć takie maleństwo bosa i bez czapki wołające, proszę za dudka (2 greicary) świecę, ałę nie złamaną, za dudka — cukru, a cykorii na przyczynek.

Kilka lat temu mistrz tańców przejezdny udzielania nauki skoków miarowych ogłosił w miasteczku. Znalazło się kilka Starosądeczanek chętnych tej nauki, a młody gniazdowy, też organista, zawiadywał orkiestrą. Trambiantki i mazurki-polki wywołały wielkie oburzenie starowiernych obywateli miasta.

— Ma też to być dobrze na świecie! kiedy te kobyły płać za to, żeby ich uczył skakać! a rozkosznicie jedna z drugą! nie możesz to skakać, jak umiesz, kiedy ci Bóg dał zdrowe nogi, a matki wasze i babki wasze czy się uczyły tańcować? A przecie was gziocły takie odchowaly!! Nie lepiej było chleba kupić, nie trwonić tak marnie na to, żeby wam pokazywał jak diabła ścigać od kąta do kąta...

Tak gromiły wiekowe starszki, mianowicie poważna kuma brata Popiela, który długie lata pustelnikiem na Górze św. Jana przy Czyżycu, a stąd rodem miał tu dzieci i wnuki. Ale nadaremne było ich wołanie, skoro matki same ciekawe oknem zaglądały.

Nawet sejmowe sprawy stąd czerpały tchnienie, mianowicie sprawa „słodkich wódek”. Zmarły niedawno rządcą tutejszych kameralnych dóbr nie uważał, że Bezirk Żydom nadawa pozwolenia szynkować wódkami słodzonymi w obrębie propinacji rządowej. Żydowie korzystając grozili psuć dochody, a kamera bała się odpowiedzialności, zwłaszcza gdy umarł stary rządcą. Następcą jego krok w krok kontrolując postępowanie Bęcyrku notował wszystkie przesłanki i wykroczenia, a zebrawszy cały paszlet posłał na ręce posła Żuka (którego antenaty także tu pochowani niegdys w kościele, kędy obecnie Bęcyrk i kaźnia). Sprawozdanie wydrukowano, narobiono też niemało hałasu a jeszcze więcej zmartwienia, gdy rozkazano odbierać pozwolenia udzielone.

Zmarły rządcą Parylewicz, w roku 1846 będąc rządcą Niepolicom, pospolite ruszenie chłopów zbierał i posłał pod Gdów, ścieląc drogę wawrzynom Jego Wysokości Feldmarszałka Benedeka..., za co otrzymał wielki Złoty Medal zasługi, a Sacher w pamiętnikach swoich galicyjskich stawia go obok siebie i Breindla. Umarł w zabudowaniu klasztornym Kingi. Tuż obok klasztoru umarł przed kilku laty ksiądz Leopold Kmiotowicz, którego życie smutne mało komu było znane. W r. 1848 jako wikary w Chochołowie ujęty, osądzony na śmierć, samotrzeci z Wiśniewskim i Kapuścińskim — po przeczytaniu wyroku dopiero po trzynastu dniach (co do zgonu wypominał) ułaskawion, później brniąc od pożaru kościoła, któremu był przydan, nadwyrzeżył płuca i dogorywał w zapomnieniu i niedostatku, żyjąc życiem świętego.

(Wycinek z „Dziennika Literackiego” nr 33 ex 1866). Wybrał Wiktor Arvay.

Z DAWNYCH KRONIK I INNYCH ZABYTEKÓW PISMIENICTWA

Staremiasto Sącz

„Duch św. Kingi unosi się nad tym miasteczkiem i podtrzymuje niektóre obyczaje starodawne, które dokąd potrwają, potrwają także mieszczanstwo prastare.

Tu dziewczęta miejskie chętnie idą służyć u zakonnic i zwykle wychodzą za mąż bez majątku, nawet, gdyż każdy wie, że nie znają hulatyki, kłótni, próżniactwa, pustoty wieczornej, a znają pokorę, posłuszeństwo, schludność, umieją szyć, dziergać, czytać, pisać i śpiewać nabożnie. Wychowanie klasztorne bardzo korzystnie oddziaływa na tutejsze niewiasty.

Mieszczka do kościoła idąca w jedwabiach, nie wstydzi się wspólnie ze swą służącą przodkować w okopywaniu łąb żęciu — która też robota idzie bardzo skoro.

Zboża tu nie plewią dla chwastu, lecz dla karmy krowom dojnym. Pieczenie, czy jak tu mówią „zbieranie” w polu cudzym, jest tu kradzieżą i często o to spory i kłótnie.

Dzierżawnego z morgi pola ornego płaci się przeciętnie 25 zł na rok, za pole jałowe, a za nieco sprawione 30—40 zł i wzwyż. Bo każdy rzemieślnik o gospodarzkę opiera swój byt, zużytkując chwile wolniejsze sług.

Kożusznicy wyrabiają do 100 tysięcy skór owczych rocznie, z czego 5 tysięcy wypada na miejscowe spożycie baraniny, która jak w Anglii stanowi przeważny pokarm mięsny. Na zimę każdy zamożniejszy po 20—40 baranów soli i bije w beczki na potrzebę domową, a kijacy w wielki tydzień chłopom okolicznym sprzedają tysiącami łopatek wędzonych. Główny jednak targ na skóry jest w Kurmie Węgierskiej, prawie na między Koronnej koło Bardiowa. Tysiącami kupują tam w Zadzuszny Dzień, lecz i na miejscu tysiącami dowożą Żydzi co trzy tygodnie w targi. Wyprawa staromiejska bywa doskonała, a narzędzie do skrobienia międrza, podobne do grzebienia przyłbicy, zwie się też po staremu skała (skofia). Kożuchy rozwożą na targi do Zakliczyna, Tarnowa, Wojnicza, Brzeska, Limanowej, skąd idą na Powiśle i za Wisłę. Kożusznicy stanowią po staremu bractwo rzemieślnicze i trzymają się kupy, dbając o doskonałość wyrobów. Żydkiwie mniej pracowici nie mogą im sprostać robotą, ale czasami wyzyskują kupnem ryczałtowym, któremu się bronią, jak mogą.

Szewcy butami ludowymi, piekarze chlebem, garncarze i powroźnicy innymi wyrobami — wyłącznie zaopatrują targi w Nowym Sączu i to dwa razy na tydzień, górując taniością i dobrocią wyrobu, w znaczeniu słowa miejscowym. Nawet garbarze i kapelusznicy przeważnie dostarczają wyrobu. Wózki po Krakowie znane.

Za to dopiero od kilku lat, tj. od czasu ułatwienia Żydom wolnego pobytu dostanie w Starym Mieście żelaza i towarów bawełnianych, sukna jednak jeszcze nie dostanie. Po stare-



Widok Starego Sącza od strony wschodniej. Most na Popradzie. Litografia Langa wg. rys. R. All'a.



HARCERSKA SŁUŻBA KRAJOZNAWCZA

Janusz Andrusikiewicz

Rozkazem Naczelnika Harcerstwa Nr 2/58 zostały zatwierdzone sprawności dla starszej młodzieży harcerskiej oraz tzw. znaki harcerskiej służby. Pierwszą grupę stanowią sprawności krajoznawcze i przyrodnicze, pierwszym zaś z sied-

miu znaków jest Znak Harcerskiej Służby Krajoznawczej.

Czym są sprawności harcerskie oraz znaki harcerskiej służby?

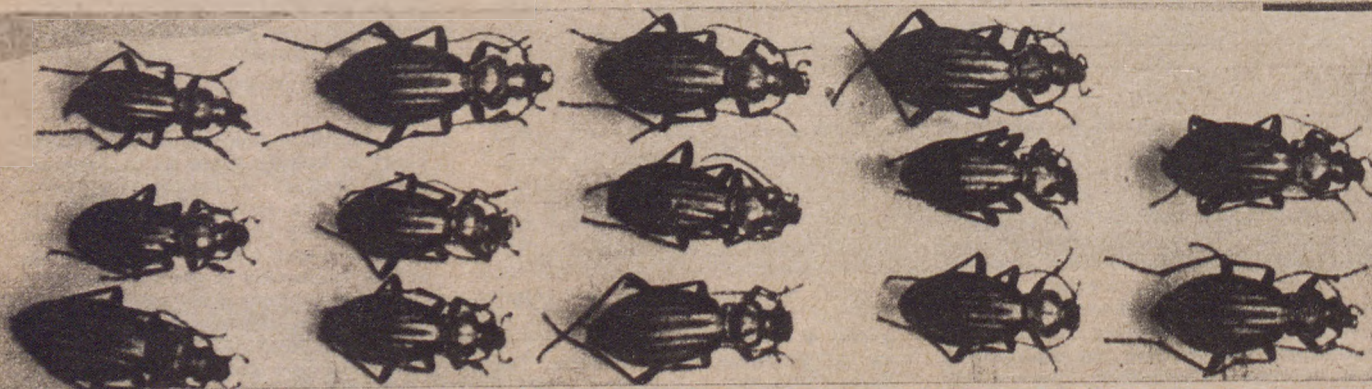
Nakreślone Przyrzeczeniem i Prawem cele wychowawcze harcerstwa sprowadzają się do ukształtowania osobowości wszechstronnie rozwiniętego i pełnowartościowego człowieka, pełniącego całym swym życiem SŁUŻBĘ: najbliższemu otoczeniu, społeczeństwu, krajowi. Cele te osiąga harcerstwo przez pracę z młodzieżą w drużynach i zastępach. Wśród zajęć wyróżnić można wyraźnie trzy zasadnicze kierunki: zdobywanie stopni harcerskich, zdobywanie sprawności oraz „życie własne” drużyn i zastępów.

Programy prób na stopnie są sztywne w tym sensie, iż obowiązują wszystkich harcerzy w jednakowej mierze i wszystkim stawiają jednakowe wymagania. Dają one jednolity zarys sylwetki harcerza w jego rozwoju i zawierają cechy charakterystyczne dla wszystkich harcerzy bez względu na indywidualne temperamenty, zdolności, zainteresowania i zamiłowania.

Te cechy indywidualne, charakteryzujące bądź jednostki, bądź też niewielkie grupy młodzieży harcerskiej skupione najczęściej w zastępach, uwzględnione są natomiast przez programy sprawności. Sprawności — to po prostu umiejętności z różnych dziedzin życia ujęte programowo i metodycznie w pewien system wymagań. Zdobywanie ich pogłębia posiadane przez zdobywających wiadomości i umiejętności, uczy solidności w pracy i zaradności, rozwija poczucie własnej wartości oraz wyrabia przydatność do pełnienia SŁUŻBY w ściśle określonym kierunku. Zewnętrzną oznaką sprawności jest przyszywany na lewym rękawie munduru krążek sprawnościowy z odpowiednim rysunkiem.

„Życie własne drużyn i zastępów” stanowiące o ich indywidualnym, nieraz zdecydowanie silnym obliczu, to zajęcia, które nie mieszczą się ani w zdobywaniu stopni, ani w „robieniu” sprawności. Tu znajdują się np. przedsięwzięcia kulturalno-artystyczne oraz imprezy rozrywkowe, sport, praca zarobkowa itd., przede wszystkim zaś jednak już konkretna SŁUŻBA występująca w najprzeróżniejszych formach i postaciach. Stanowiąc powolne lecz systematyczne wdrażanie młodzieży harcerskiej do życia społecznego, jest ona zarazem sprawdzianem wiadomości i umiejętności nabytych przez harcerzy w trakcie zdobywania stopni i sprawności.

Służba pełniona przez drużyny i zastępy jest rodzajem odpowiedzi na konkretne zapotrzebowanie społeczne, a sprowadza się do zespolonego podejmowania poważniejszych zadań, akcji, czynów społecznie użytecznych. Zdobyć znaku harcerskiej służby uzależnione jest przede wszystkim od „udziału w poważnym zadaniu społecznym zespołu”. Znaki harcerskiej służby nosi się na lewej kieszeni munduru.



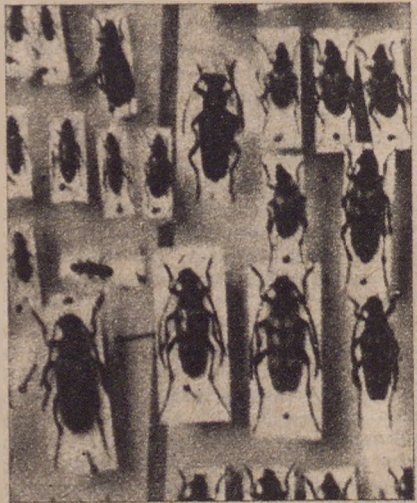
Fot. W. Nowak

Kolekcjonując owady często nie bardzo wiemy jak je należy zbierać i jak swe zbiory potem konserwować. Tak się jakoś składa, że wśród młodych zbieraczy największym zainteresowaniem cieszą się motyle i chrząszcze; ograniczymy się więc do nich.

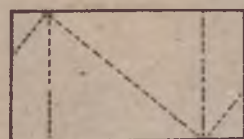
Przed wszystkim z naciskiem należy podkreślić, że przystępując do zbierania tej czy innej grupy owadów powinniśmy już coś o niej wiedzieć. Przeczytać jakąś, choćby nawet popularno-naukową pracę, w której znaleźć można najważniejsze dane dotyczące sposobu życia, liczebności w naszym kraju czy też okresów roku, w których przedstawiciele danej grupy występują. Unikać należy zbierania na oślep, wszystkiego co popadnie. Takie przypadkowo zbierane materiały, przeważnie nieoznaczone a często w ogóle nie opatrzone etykietkami są zupełnie bezwartościowe. A i dla samego zbieracza po krótkim czasie przestają stanowić przedmiot jakiegokolwiek zainteresowania. Trzeba również pamiętać o tym, że takie nieprzemysłane zbieranie w wielu wypadkach może być wręcz szkodliwe. Wiele bowiem gatunków owadów żyje tylko na pewnym, niewielkim obszarze. Nieostrożne wyzbieranie wielkiej ilości okazów z ograniczonego terenu ich występowania, może doprowadzić do zupełnego wytepienia danego gatunku owadów w tej okolicy. Powinniśmy stale pamiętać, że każda, nawet skromna kolekcja owadów służyć winna takim czy innym celom naukowym.

Zanim wybierzemy się na pierwszą wycieczkę przyrodniczą musimy zaopatrzyć się w odpowiedni sprzęt. Siatka na motyle powinna być uszyta z delikatnego a jednocześnie możliwie mocnego tiulu. Długość worka winna wynosić około 50 cm a średnica obręczy co najmniej 30 cm. Najlepsze są obręcze dwukrotnie łamane. Taką siatkę złożoną podwójnie da się nosić nawet w kieszeni.

Tak zwane motyle większe, musimy usmiercać bezpośrednio po złapaniu. Do trucia służy octan etylu (często



niebawem rdzewieje i szpilka się łamie. Motyle dzienne można przechowywać przed spreparowaniem w papierowych torebkach. Sposób sporządzenia takiej torebki pokazany jest na rysunku. Gdy wycieczkę ograniczamy do jednego tylko terenu nie musimy zaopatrzyć złapanych okazów w etykiety. Skoro jednak odbywamy dłuższą wycieczkę, lub też gdy wędrujemy terenem różnorodnym, należy koniecznie opatrzyć złapane okazy przynajmniej kolejnymi numerkami. Przy czym uwagi dotyczące miejsca złapania zapisywać należy w notatniku.



Torebka do krótkiego przechowywania motyli dziennych.

okazy nabijamy na specjalne szpilki entomologiczne (długie oksydowane szpilki opatrzone mosiężną główką) i umieszczamy w podręcznym pudełku. Na dnie pudełka wklejona jest płytka torfitowa lub korkowa. W żadnym wypadku nie należy używać zwykłych szpilek. Są one za krótkie a część pozostająca w ciele owada

niebawem rdzewieje i szpilka się łamie. Motyle dzienne można przechowywać przed spreparowaniem w papierowych torebkach. Sposób sporządzenia takiej torebki pokazany jest na rysunku.

Gdy wycieczkę ograniczamy do jednego tylko terenu nie musimy zaopatrzyć złapanych okazów w etykiety. Skoro jednak odbywamy dłuższą wycieczkę, lub też gdy wędrujemy terenem różnorodnym, należy koniecznie opatrzyć złapane okazy przynajmniej kolejnymi numerkami. Przy czym uwagi dotyczące miejsca złapania zapisywać należy w notatniku.

Tak zwane motyle mniejsze winniśmy przechowywać żywe, umieszczając je po jednym okazy w szklanych lub plastikowych zakorkowanych fiolkach.

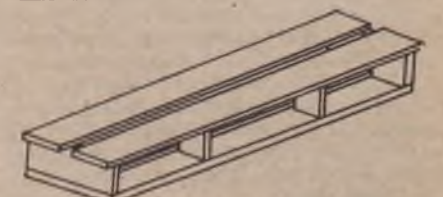
Często, szczególnie w gorące, parne noce, najlepiej przed nadciągającą burzą wabimy nocne motyle do świa-

OWADY

ANDRZEJ GAJ

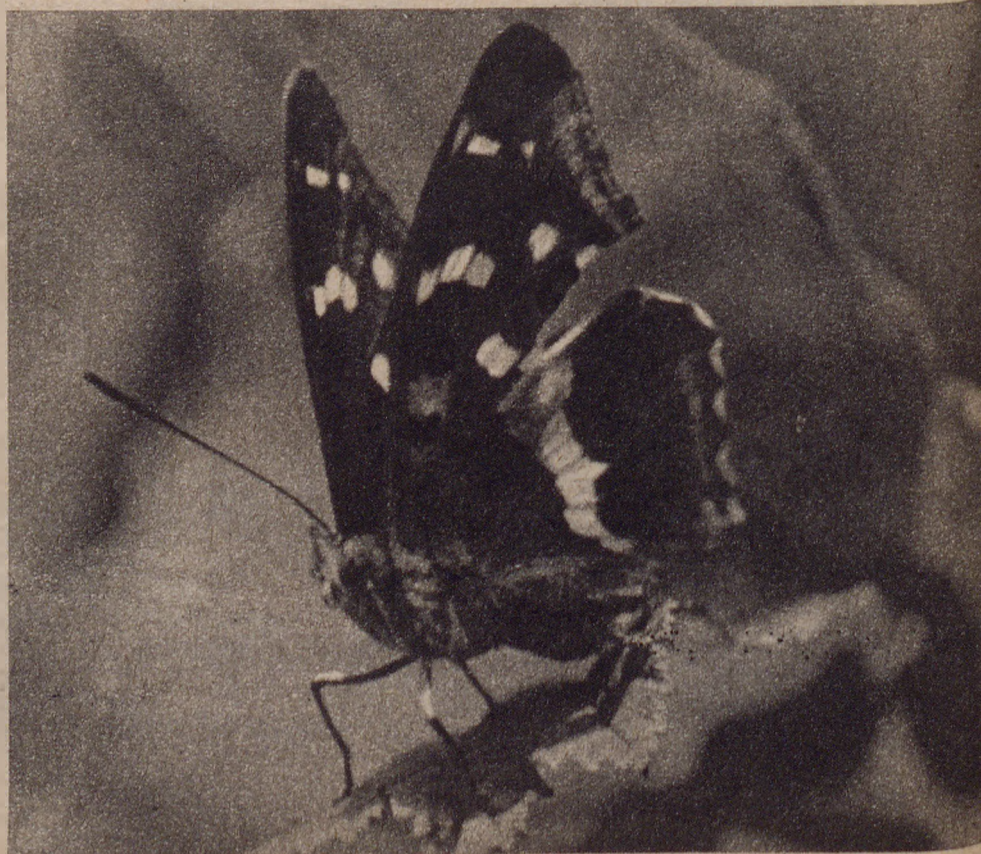
ła. Używamy w tym celu silnej lampy acetylenowej lub elektrycznej, przed którą umieszczamy ekran z prześcieradła. Zwabione światłem ćmy siadają na ekranie skąd zbieramy je wprost do zatrzuwaczki.

Po powrocie do domu preparujemy złapane okazy. O ile zostały one już poprzednio nabite na szpilki poprawiamy tylko ich ustawienie. Gdy zostały one tymczasowo pomieszczone w torebkach nabijamy je na szpilki odpowiedniej grubości, tak by nad tułowiem wystawała 1/3 długości szpilki. Motyle preparujemy na tzw. rozpinadłach. Rozpinadło składa się



Rozpinadło do preparowania motyli.

Mieniak tęczowiec. Fot. J. A. Samkowiec



A oto parę nowych harcerskich sprawności krajoznawczych:



Przewodnik po okolicy

Próba wymaga dokładnej teoretycznej i praktycznej znajomości okolicy miejsca zamieszkania oraz posiadania wiadomości z zakresu historii, geografii, etnografii, historii sztuki i ekonomii. Kandydat musi praktycznie wykazać umiejętność organizowania wycieczek i prowadzić kronikę odbytych wędrówek.



Przewodnik po mieście

Wymagania podobne jak poprzednio z tym, że kładzie się znacznie silniejszy nacisk na wszechstronną zna-

jomość miasta. Zdobywający sprawność winien nadto znać zasady udzielania pierwszej pomocy, a postawą swą dawać przykład wysokiej kultury turystycznej.



Etnograf

Jedną z najciekawszych sprawności, w oparciu o którą zastęp a nawet drużyna (zwłaszcza o specjalności krajoznawczej) może zbudować roczny plan pracy. Próba zobowiązuje kandydata do dokładnego poznania wybranego regionu oraz orientowania się w wyrobach sztuki ludowej i strojach innych regionów, zwiedzenia muzeum etnograficznego lub wystawy sztuki ludowej, gromadzenia materiałów (eksponaty, zdjęcia, rysunki), czytania odpowiednich periodyków oraz upowszechniania swych etnograficznych „zdobyczy” z krajoznawczych wypraw.



Archeolog

Kandydat musi wiedzieć co to są i jaką wartość przedstawiają zabytki archeologiczne oraz jak zachować się w wypadku natrafienia na nie. Wymagania próby przewidują dalej zwiedzenie muzeum archeologicznego, czynny udział w pracach archeologicznych oraz upowszechnianie wśród otoczenia wiedzy archeologicznej.



Znak Harcerskiej Służby Krajoznawczej

Znak Harcerskiej Służby Krajoznawczej jest „ukoronowaniem” sprawności krajoznawczych. Program tego Znak obejmuje:

- I. Przykładowe zadania zespołowe.
- II. Wymagania indywidualne.

Zadaniami zespołowymi mogą być na przykład: inwentaryzowanie zabytków w swoim powiecie w porozumieniu z Wydz. Kultury Prezydium Rady Narodowej, opracowanie przewodnika po swoim powiecie lub mieście, założenie i prowadzenie bazy turystycznej, udział w obozie wędrownym prowadzącym badania dla jednego z instytutów naukowych itp.

Wymagania indywidualne streszczają się w jednym zdaniu: „Zdobywający Znak winien uzyskać trzy sprawności, w tym dwie z zakresu krajoznawstwa i jedną ściśle związaną z wykonywanym zadaniem”.

Rok bieżący będzie okresem próby przydatności nowych sprawności i znaków harcerskiej służby w pracy drużyn i zastępów. Sądzić należy, że sprawności krajoznawcze wraz ze Znakiem Harcerskiej Służby Krajoznawczej zdadzą na ogół dobrze egzamin, potwierdzając słuszność obrania krajoznawstwa przez Główną Kwaterę Harcerstwa za jeden z zasadniczych kierunków pracy w odrodzonym ZHP.

Dyląg garbacz, jeden z największych chrząszczy polskich Fot. J. A. Samkowie



z dwóch gładkich deseczek, pomiędzy którymi znajduje się rowek odpowiadający mniej więcej grubości ciała owada. Na dnie rowka znajduje się warstwa torfu lub korka, do której wpina się szpilkę. Na deseczce rozkładamy skrzydła motyla tak by kąt zawarty między tylnym brzegiem przedniego skrzydła a tułowiem był kątem prostym. Skrzydła nakrywa się paskami celofanu lub kalki szkicowej; paski unieruchamia się szpilkami. Nie należy zapominać również o należywym ułożeniu czulek owada a w pewnych wypadkach także i jego nóg. Czas pozostawiania motyla na rozpinadle, zależnie od wielkości motyla, wynosi od kilku dni do kilku tygodni.

W wypadku parodniowej wycieczki, gdy motyle przechowywane były w torebkach przez czas dłuższy, należy przed rozpinaniem okazy zmiękczyć. Do rozmiękczenia stosujemy ekzykator lub sój szklany. Na dno syplamy piasek i zwilżamy go wodą. W słoju należy umieścić tymol aby rozmiękczone okazy nie pleśniały. Nasycona para wodna rozmiękcza motyle tak, że można je po upływie około 24—48 godzin z łatwością rozpinać. Motyle mniejsze trzeba w miarę możliwości preparować przed ich zeszywnieniem ponieważ po rozwilżaniu, pominawszy

trudności przy rozpinaniu tak małych okazów, nigdy nie wyglądają one świeżo. Pamiętajmy, że wiele gatunków matowieje podczas rozmiękczenia a motyle zielono ubarwione mają tendencję do żółknięcia.

Po zdjęciu motyla z rozpinadła zaopatruje się go w etykietkę i umieszcza w specjalnym szczelnym pudle. Dno pudła wyklejone jest płytami prasowanego torfu lub torfitem. Etykietka powinna możliwie dokładnie informować o miejscu i dacie złapania owada oraz podawać nazwisko zbieracza. Pamiętajmy, że tylko okaz zaopatrzony w etykietkę posiada wartość naukową.

Do polowu chrząszczy służy czerpak. Jest to worek sporządzony z cienkiego lecz mocnego płótna, nieco krótszy od siatki na motyle, mający mniej więcej 40 cm długości. Worek taki osadzony jest na pojedynczo łamanej obręczy o średnicy podobnej jak średnica obręczy do siatki na motyle, sporządzonej z drutu żelaznego o grubości 4—5 mm. Energicznymi ruchami koszącymi zbieramy chrząszcze z roślin, na których siedzą. Zbieracz powinien się poruszać w kierunku do słońca aby cień nie ploszył owadów. Po kilkudziesięciu ruchach czerpaka kontrolujemy jego zawar-



tość i wybieramy pożądane okazy do próbek lub fiolek. Próbek zawsze powinniśmy mieć pod dostatkiem aby nie umieszczać w jednej zbyt dużej ilości okazów, tym bardziej, że niektóre gatunki chrząszczy pożerają się nawzajem. Probówki, szczególnie duże, winny być wypełnione wąskimi długimi paskami papieru zwilżonego trucizną. Drobne owady, pokryte puszkami lub delikatnymi włoskami oraz okazy szczególnie rzadkie winno się

POLONIA mer.
TYNIEC
dist. KRAKÓW
24. 6. 1957
STALKIEWICZ leg.



Wzór etykietki. Wymiary ok 15x8 mm. Okaz chrząszcza nalepiony na kartonik.

umieszczać osobno w oddzielnych probówkach. Trucizną używamy takich samych jak dla motyli.

Bardzo pożytecznym dla zbieracza przyrządem jest szerokie dłuto. Służy ono do obłupywania kory z pni zwalonych drzew. Pod korą żyje wiele gatunków, które tylko w ten sposób można zebrać.

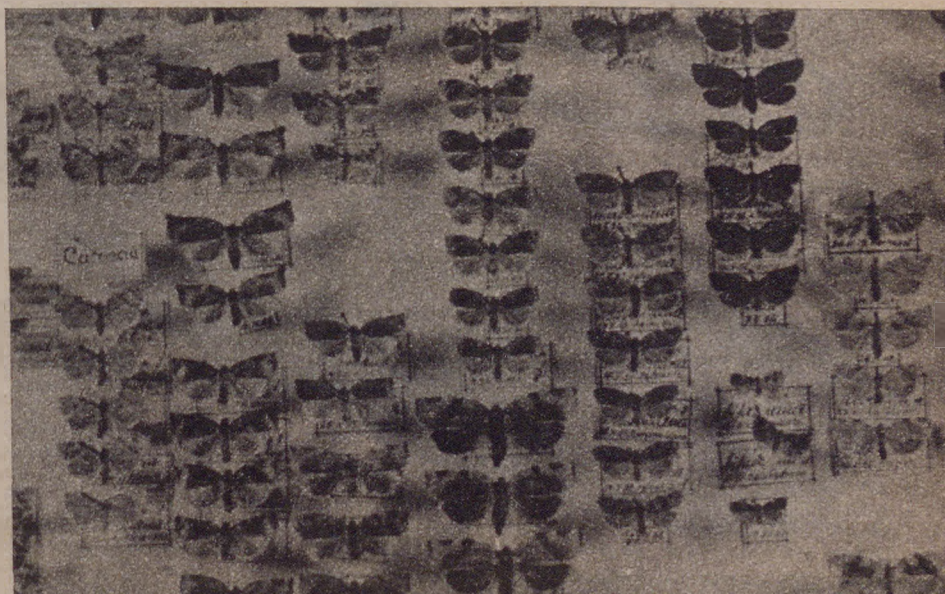
Preparowanie chrząszczy jest na ogół prostsze niż preparowanie motyli. Mniejsze okazy nalepimy na przygotowane kawałki kartonu. Do klejenia najlepiej używać syndetikonu. Następnie układamy odpowiednio nogi i czułki, nabijamy kartonik na szpilkę, etykietujemy okaz i wpinamy do pudła. Okazy większe umieszczamy na szpilkach entomologicznych dobierając ich grubość w zależności od wielkości owada. Dla owadów krajowych wystarczają szpilki od nr 1 do 4. Szpilkę wbijamy w prawą część

pokrywy w pobliżu szwu, pomiędzy drugą i trzecią parą nóg, tak by nad owadem znajdowała się 1/3 długości szpilki. Następnie nabijamy owada na grubą płytkę torfową i odpowiednio



układamy nogi i czułki. Długie czułki układamy na grzbiecie owada. Tak spreparowane okazy powinny pozostać na płytce przez przeciąg kilku dni aż do całkowitego wyschnięcia. Po zdjęciu z płytki okaz zaopatrujemy w etykietkę i wpinamy do pudła. W czasie zmiękczenia wysuszonych owadów postępujemy podobnie jak z motylami.

Na zakończenie zaznaczyć należy, że zbieranie owadów winno postępować równolegle z umiejętnością oznaczania łapanych gatunków, z umiejętnością posługiwania się kluczami do oznaczania. Tylko taki zbiór, zawierający należyście zaetykietowane oraz prawidłowo oznaczone okazy jest zbiorem prawdziwym mogącym przynieść korzyść zarówno nauce jak i samemu zbieraczowi.

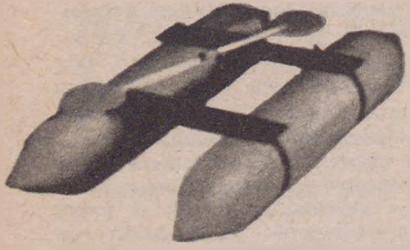


Fot. W. Nowak

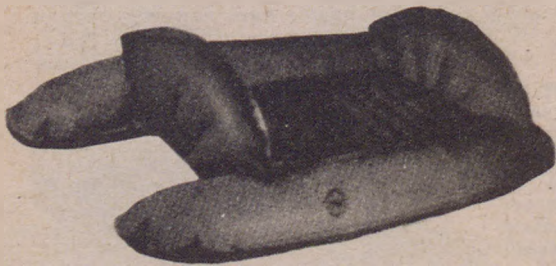
NAUILETTE



Składane pływaki pneumatyczne z masy plastycznej.



PAGAIÉ



CORMORAN



CORSAIR



SPRZĘT PNEUMATYCZNY

Pneumatyczny sprzęt sportowy to dziedzina wytwórczości, która swój rozwój w olbrzymiej mierze zawdzięcza ostatniej wojnie. Lotnicy i morskcy specjaliści wytestowali całą wiedzę aby zapewnić żołnierzom maximum bezpieczeństwa i sprawności bojowej w operacjach lądowo-powietrznych, w czasie walk nad kanałem La Manche, w prowadzeniu arktycznych konwojów transportowych. Mnożyły się typy pneumatycznych łodzi, tratw, ubiorów. Obok tradycyjnej gumy i gumowego brezentu pojawiły się coraz to nowe tworzywa plastyczne, lekkie i mocne. Po zakończeniu działań wojennych fala sprzętu z demobilu zalała kraje Europy, budząc zrozumiałą podziw wśród cywilów. Ale już wkrótce firmy produkujące sprzęt sportowo-campingowy podchwyciły wojskowe wynalazki adaptując je do pokojowych potrzeb i stale ulepszając. Obecnie nawet w Polsce pneumatyczny ekwipunek turystyczny przestaje budzić sensację, choć wachlarz produkcji naszych fabryk w tej dziedzinie a także i jakość wyrobów budzą jeszcze niejednokrotnie poważne zastrzeżenia.

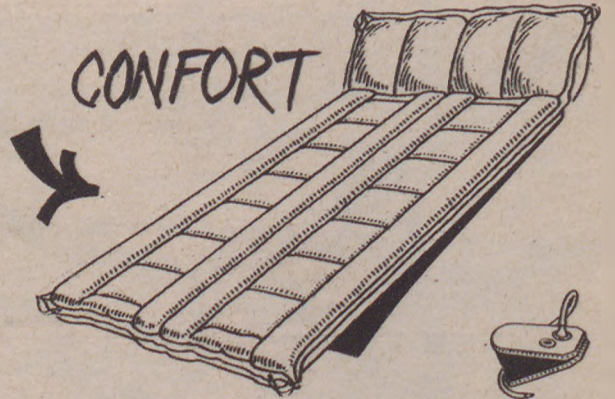


Model „Igloo”. Czteromiejsowy namiot, którego szkielet stanowią nadymane powietrzem, gumowe rurki. Waga 8,2 kg.

TRIX



CONFORT



Czterokomorowy materac o wymiarach 200x72 cm i wadze 2,20 kg, który można zamienić na wygodny fotel.

TRIX



VIDORLIT

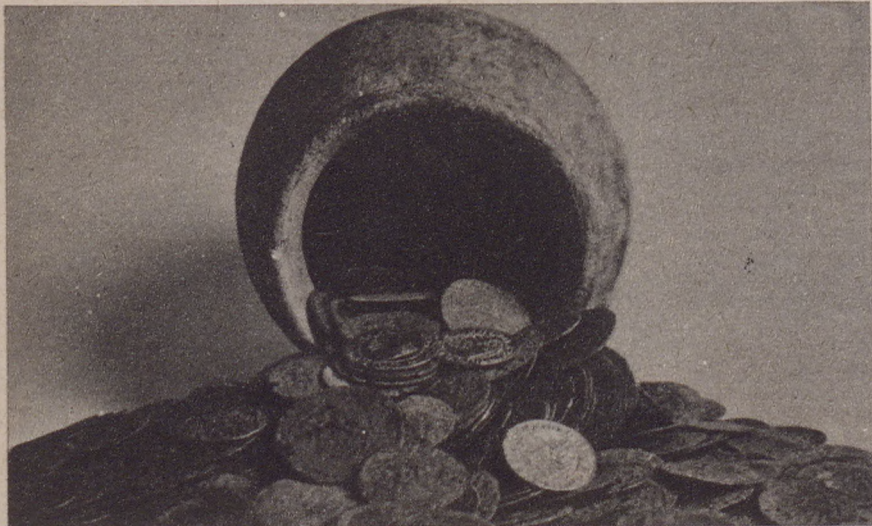
Lalarka oprawiona w grubą gumę. Wodo- i pyłoszczelna, odporna na uderzenia. Szczególnie przydatna w turystyce wodnej.



Kajak o 4 komorach z drewnianą, wkładaną podłogą. Długość 2,70 m. Waga 10 kg.



Składany basenik z podwójnej gumy o wymiarach 120x70 cm. Pojemność 125 l.



Skarb półgroszowy Władysława Jagiełły, wyorany w roku 1957 w gminie Płęsy, pow. wierzowicki, woj. łódzkie, oddany do Gabinetu Numizmatycznego w Muzeum Archeologicznym w Łodzi. Fot. A. Gupieniec.

Na szlaku wędrówek po kraju, krajoznawca ma wyjątkową sposobność napotkania starych monet. Zwłaszcza obecnie, w dobie mechanizacji rolnictwa, głęboka orka mechaniczna częściej niż dawniej wydobywa z ziemi większe lub mniejsze skarby monet.

Nie zawsze trafiają one niestety do Gabinetów Numizmatycznych w muzeach, gdzie jest ich właściwe miejsce. Wykopane nieraz przed wielu laty, zdołały rozproszyć się wśród ludzi, tak, że często niepodobna już ustalić kto, i gdzie je znalazł. Wędrowiec krajoznawca może je nabyć i uchronić przed zaturą. Czasami, w rozmowach ze starymi ludźmi, zdoła dotrzeć do tradycyjnego „woreczka babuni“, w którym obok błahostek znajduje się nieraz piękny numizmat.

Nie powinniśmy przechodzić obojęt-

nie koło tych najmniejszych zabytków przeszłości. Z przypadkowych, drobnych zbiorów monet wyrastają z czasem wartościowe zbiory większe, których ostatnim etapem, drogą sprzedaży czy daru, stanie się prędzej czy później — muzeum.

Po ostatnich dwudziestu latach niewiarygodnych spustoszeń w numizmatyce: grabieży wojennej, rozproszeniu zbiorów prywatnych i ostatnio, po spekulacyjnej pogoni za srebrem, trzeba koniecznie zwrócić uwagę młodych i starszych wędrowców-krajoznawców na obowiązek, pożytek i przyjemność zbierania numizmatów, na głęboki związek, łączący stare monety z innymi zabytkami przeszłości i z historią kraju ojczystego. W tej myśli będziemy usiłowali w naszym „Skarbczyku“ zbliżyć krajoznawców do zaczarowanej sprawy zbieractwa numizmatycznego.

Wędrując po Polsce Centralnej, można stosunkowo często napotkać wśród ludzi cenne pamiątki narodowe: monety wydane przez Rząd Narodowy w czasie Powstania Listopadowego 1830/31 roku. Przechowywane z pokolenia na pokolenie, krzepiły w latach niewoli wspomnieniem walki zbrojnej i nadzieją odzyskania niepodległości.

Komplet emisji menniczej podaje rysunek. Oprócz monet bitych, wydano jeszcze banknot 1-złotowy, wydrukowany na cienkim papierze zielonym. Warto tu zanotować ciekawostkę: wydano też pełne wdzięku malutkie szkatułki, wykładane aksamitem, a zawierające komplet monet i ten banknot. Na wieczku tych szkatulek wytłoczono w ozdobnej ramce charakterystycznego orła w koronie, siedzącego na kuli oraz dwuwiersz, jedno i drugie widoczne też na rycinie, wykonanej przez K. W. Kielisińskiego.

Dwuwersz brzmi:

Dawne wyrocznie Lecha niebo nam ogłasza,

Polacy, to nasz orzeł, ta ziemia jest nasza.

Ponieważ szansa napotkania tych monet w wędrowce po kraju jest dość

MONETY POWSTANIA LISTOPADOWEGO

duża, wypada określić bieżącą wartość tych monet. Posłużymy się w tym celu „Cennikiem Monet Polskich“ Konrada Berezowskiego, wydanym w roku 1934 przez Towarzystwo Numizmatyczne Warszawskie. Zastosujemy tu średni mnożnik „15“ i zanotujemy wartości numizmatów: Trzygroszówka — 60 zł, 10-groszówka — 18 zł, dwuzłotówka — 37 zł, pięciozłotówka — 120 zł, złoty dukat, to sprawa i rzadsza i kosztowniejsza: wart chyba około 800 złotych. Papierowy banknot 1-złotowy cenimy na ok. 60—80 złotych. Przypominamy raz jeszcze, że powyższe ceny dotyczą numizmatów doskonale zachowanych. Wartość pustej szkatułki 100—150 złotych, zaś pełnej łatwo obliczyć.



Komplet monet wydanych przez powstańczy Rząd Narodowy w roku 1831. Podobna akwafarby, wykonanej przez słynnego rytownika z tych czasów, Kajetana Wincentego Kielisińskiego (ur. 1808 r. zm. 1849). Słynny akwarcista wykonał zadanie graficzne z wdziękiem właściwym tej epoce.

SKRZYDŁKA POCZTOWA

Narodziny „Skarbczyka Numizmatycznego“ zostały poprzedzone listami czytelników, dotyczącymi spraw numizmatycznych. W dalszym ciągu, liczymy na żywy kontakt korespondencyjny z nami tych wszystkich, którzy znalazłszy, lub posiadając monety i medale, chcieliby zasięgnąć o nich bliższej informacji. Wobec zupełnego braku jakiegokolwiek literatury numizmatycznej na rynku księgarskim, kontakt ten stać się może dla krajoznawców-numizmatyków przysłowiową „ostatnią deską ratunku“. Podejmujemy się chętnie tego zadania, a na początek zamieszczamy dwie informacje o charakterze ogólnym.

Od jesieni 1957 roku wychodzić zaczął w Warszawie nowy kwartalnik: „Wiadomości Numizmatyczne“. W roku ubiegłym wyszły 2 zeszyty, w roku bieżącym Nr 1. za pierwszy kwartał br. Cena zeszytu 12 złotych. Adres redakcji i administracji: Warszawa ul. Jezuicka 6. Wydawcą kwartalnika jest Polskie Towarzystwo Archeologiczne.

Numizmatyczny ruch zbieracki w woj. krakowskim ogniskuje się w tej chwili w Sekcji Numizmatycznej, zorganizowanej przy krakowskim oddziale Polskiego Związku Filatelistów (adres: Kraków, ul. Wiślna 8 I. p.). Zebrania Sekcji odbywają się raz w tygodniu, w soboty, od godz. 18—20 w lokalu Związku. Goście zamiejscowi mile widziani.



Półgrosz koronny Władysława Jagiełły (1386—1434) Strona główna (awers): korona, pod nią litera gotycka N=Nicolus=Mikołaj, znak mincerski krakowski tego imienia. W otoku napis (legenda) gotycki: MONE (ta) x WLADYSLAI t co znaczy: moneta Władysława. Strona odwrotna (rewers): orzeł w koronie, w otoku dalszy ciąg napisu z awersu: REGIS x POLONIE t co znaczy: króla Polski. Średnica monety 21 mm, waga 1,5 grama. Fot. A. Broż.

PÓLGROSZ

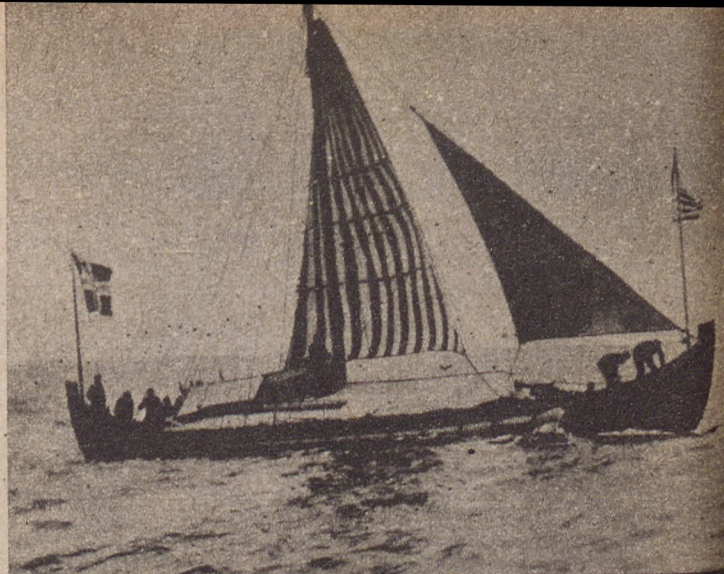
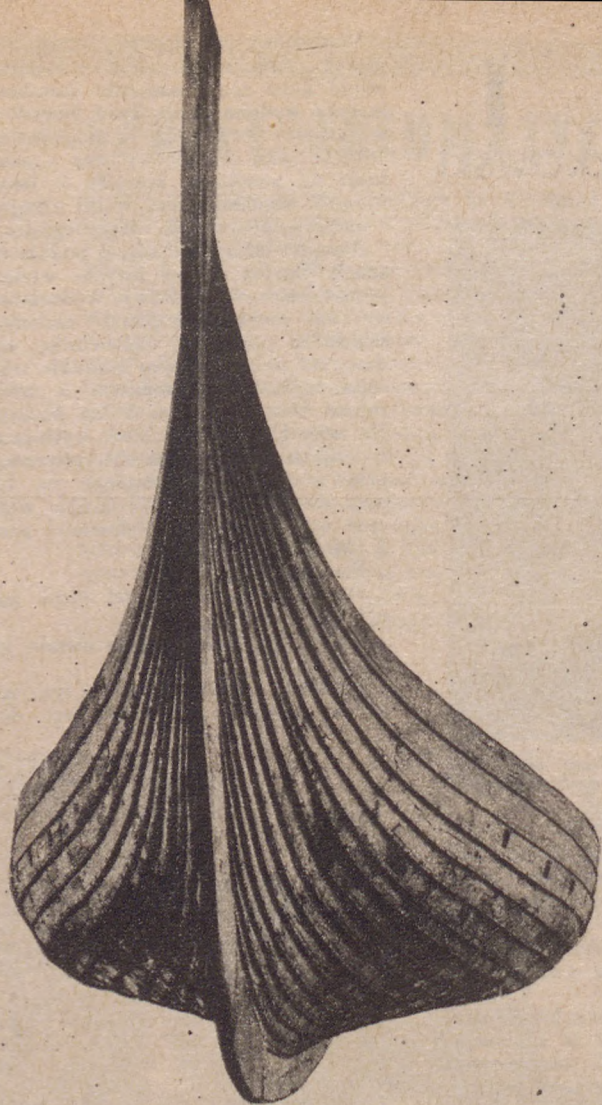
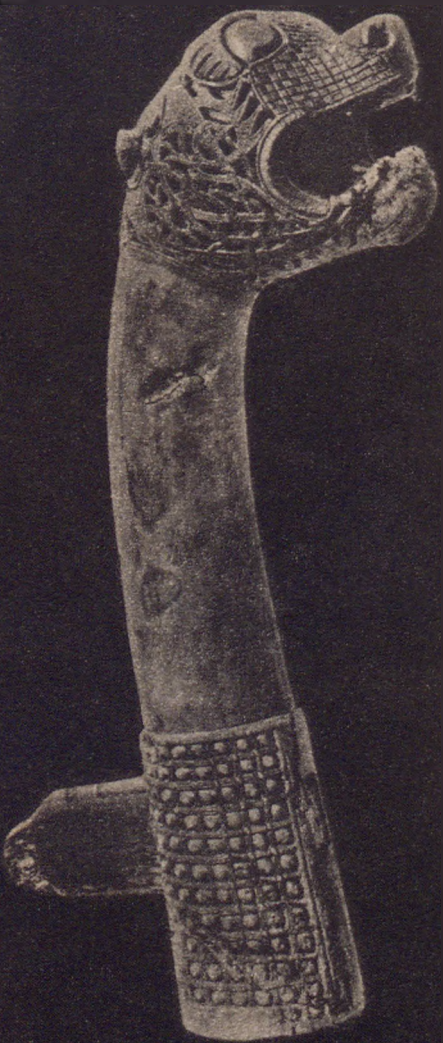
Zbliża się rok 1960, w którym uczymy 550-tą rocznicę pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem. Tym chętniej przyjrzymy się monetcie z owych czasów, podobnej do tych, które wykopano w Płesach. Kto powierzył ten skarb ziemi? Może rycerz, udający się na wyprawę Jagiełłową przeciw Krzyżackiemu Zakonowi? Może zginął on pod Grunwaldem, skoro nie zdołał wykopać swego skarbu, dochowanego do naszych czasów?

Mennictwo polskie za panowania króla Władysława Jagiełły nie było zbyt urozmaicone. Bito malutkie srebrne denary, niewiele od nich większe ternary, czyli trzeciaki, ale głównym rodzajem kursującej wówczas monety były półgrosze, z których jeden pokazujemy.

Jaka była siła kupna pieniądza w owym czasie? Oto kilka cyfr. W zachowanych księgach rachunkowych miasta Krakowa zanotowano w roku 1392 wydatek na strażnika na wieży Mariackiej. Pobierał on tygodniowo 8 groszy, a za granie hejnału o wschodzie słońca dodatkowo półtora grosza, czyli 3 półgrosze. W teście księże pod rokiem 1396 zanotowano kilka cen: korzec pszenicy kosztował 7 groszy, żyta 5 groszy, prosa 3 grosze, owsa 2 grosze, para kurcząt 1 grosz, para trzewików 2—6 groszy, para butów 4—12 groszy, tygodniowy zarobek najemnika 6—8 groszy.

W rachunkach dworu królewskiego zachowała się zapiska z roku 1389, dotycząca kosztu produktów na obiad dworu królewskiego w Niepołomicach: wół karmny 44 grosze, wiepsz 24 grosze, skop 6 groszy, 2 gęsi 2 grosze, 2 prosięta 3 grosze, 200 jaj 6 groszy, 4 kurczęta 2 grosze, 4 kapłony 6 groszy, poleć słoniny 14 groszy i 4 beczki piwa 80 groszy.

Interesować nas jeszcze może obecna numizmatyczna wartość półgrosza Jagiełły. Sztuki bez litery mincerskiej pod koroną przedstawiają wartość około 15 złotych, z literami pod koroną do 25 złotych. Ceny te jednak rozumieją się za egzemplarze pięknie wybite i doskonale zachowane. Monety gorzej wybite, wytarte lub uszkodzone szacować należy odpowiednio taniej. Nie warto jednak gromadzić nieczytelnych „wycieruchów“, których wartość równa się niemal cenie złomu.



ŁODZIE WIKINGÓW



U góry po lewej głowa lwa z dzioba statku grobowego książęcej nordyckiej Azy, pokryta charakterystycznym ornamentem plecionkowym.

Po lewej: dwa zdjęcia statku odkopanego na wyspie Bygdoy, zrekonstruowanego i eksponowanego obecnie wraz z dwoma innymi w specjalnie zbudowanym muzeum, na tejże wyspie, stanowiącej dzielnicę Oslo.

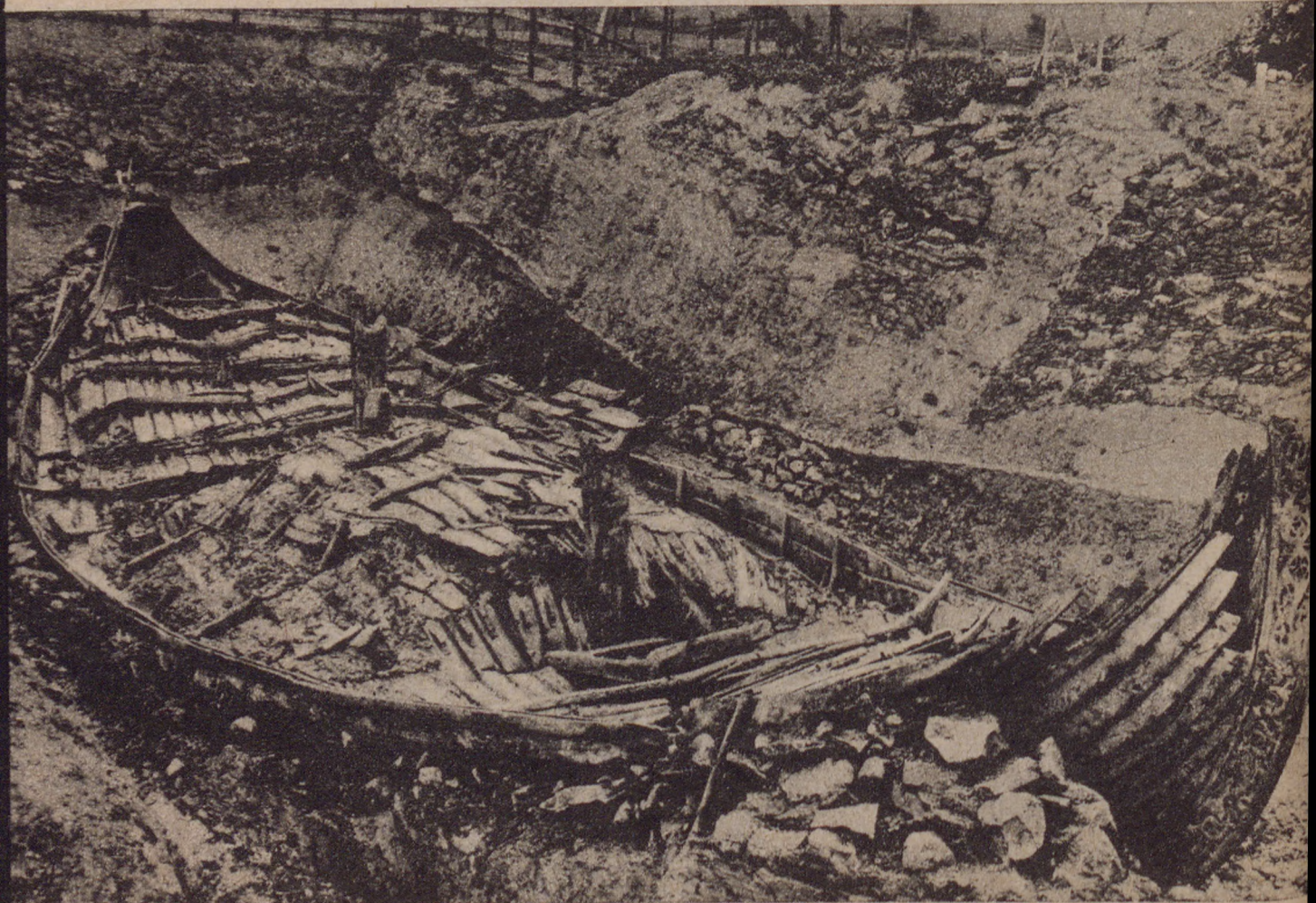
Powyżej: Wykonana w Norwegii pływająca rekonstrukcja statku Wikingów w czasie prób na otwartym morzu. Łódź zabezpieczono pływakami powietrznymi, umieszczonymi wzdłuż burt. Oprócz ozdobienia łodzi posiadały pełny komplet wiosel, wysuwanych obustronnie przez otwory w burtach. Sterowanie odbywało się wielkim wiosłem umocowanym w pobliżu rufy na jednej z burt.

U dołu: prace wykopaliskowe w fiordzie Oslo.

W popularnych opracowaniach archeologicznych wiele pisze się o dawnych żeglarzach słowiańskich i odkryciach ich łodzi na Pomorzu, a także o tym jak szwiniścizni archeolodzy niemieccy przypisywali je Wikingom. Wikingowie istotnie zapuszczali się w górę Odry czy Wisły, jednak ich statki różnią się zupełnie zasadniczo od łodzi słowiańskich zarówno konstrukcją jak wyglądem ogólnym. O łodziach słowiańskich pisaliśmy w numerze styczniowym Ziemi z r. 1957.

Najpiękniejszy ze znanych nam statek Wikingów odkopano w roku 1890 w fiordzie Oslo. Pochodzi on z IX wieku i stanowi kaplicę grobową książęcej nordyckiej Azy. Statek był przystosowany do żeglugi i wiosłarstwa. Wewnątrz znajdowała się kaplica z ciałem oraz skrzynie z przedmiotami użytkowymi, sanie i wóz pokryte ornamentami plecionkowymi.

Na wyspie Bygdoy, również w fiordzie Oslo znaleziono ponadto kilka innych statków o skromniejszym zdobnictwie. Posłużyły one jako wzór do wykonania pływającej rekonstrukcji.





FAVELAS

Danuta Sulistrowska
Zdjęcia
Zygmunt Sulistrowski



FAVELAS



dzie chciałam zwiedzić favelas — dzieliło mnie od niej nie więcej jak pięć minut drogi — okazało się to rzeczą zupełnie niemożliwą.

Przeszło 65% ogółu ludności Brazylii to biali. Resztę stanowią Murzyni, Indianie oraz potomkowie małżeństw mieszanych. Rio de Janeiro, zbudowane z rozmachem, posiadające wspaniałe, szerokie avenidy, wielopiętrowe nowoczesne gmachy i malownicze dzielnice willowe, jest — jak zresztą cała Brazylia — miastem szalonych kontrastów. Obok monumentalnych gmachów i rezydencji stoją tu nędzne domki murzyńskich dzielnic. Rio liczy obecnie 3 miliony mieszkańców. W favelas żyje ich około 400 tysięcy.

Czarni — słowo murzyn w Brazylii jest określeniem obraźliwym, używanym często w czasie kłótni między murzynami, którzy wymyślają sobie od „murzynów czarniejszych od diabła” — żyją swoim własnym życiem, do którego biali nie mają właściwie dostępu. By biały, a tym bardziej biała kobieta, cudzoziemka weszła na

teren favelas, a na dodatek chciała zrobić kilka zdjęć jest rzeczą nie do pomyślenia.

Z okna mego pokoju favelas wyglądała barwnie i egzotycznie. Wśród palm i zieleni na tle bardzo niebieskiego nieba małe, jakby przyklejone do ściany góry domki, z suszącą się na sznurach kolorową bielizną. Domków tych w dolnych partiach góry jest bardzo dużo, gęsto przylegają do siebie, dalej posuwając się do wierzchołka góry jest ich coraz mniej, coraz bardziej giną wśród zieleni drzew. Zbudowane są z dykty czy też z kawałków desek. Zamiast okien — powycinane otwory. Domy są zelektryfikowane, właściciele ich mają radia a często i telewizory, za to nie mają wody — trzeba ją nosić z ulicy znajdującej się u podnóża góry. Ulica prowadząca do favelas jest ruchliwa, stałe ciągną nią czarne postacie niosące pod górę bańki z wodą, apro-wizację, deski na budowę czy remont chat. Chodzą wolno, chyba się nigdy nie spieszą. Noszenie ciężarów to praca kobiet i dzieci, mężczyźni nigdy

tego nie wykonują. Kobiety mają niestychanie wyrobiony zmysł równowagi: prawie nigdy nie podtrzymują niesionych na głowie przedmiotów rękami.

Widziałam niejednokrotnie chłopców murzyńskich w wieku od 8 do 12 lat idących wolno pod górę do favelas. Nieśli wodę, żywność lub deski. W pewnym momencie jeden z nich siada na ulicy, odpoczywa i tak od niechcenia zaczyna wybijać palcami na desce czy bańce od wody rytm jakiejś znanej mu melodii. Po chwili wszyscy pozostali rzucają niesione przedmioty, siadają na ulicy i czym kto może, co znalazł pod ręką wystukuje rytm.



RECENZJE • RECENZJE • RECENZJE

Pod tym tytułem wychodzi od roku 1955 we wschodnim sektorze Berlina kwartalnik, poświęcony historii tego miasta. Pismo jest wydawane przez „Koło Robocze Historii Berlina”, stanowiące sekcję stowarzyszenia „Kulturbund zur demokratischen Erneuerung Deutschlands”.

W zawartej w pierwszym numerze pisma „deklaracji ideowej” redakcja zapowiedziała uwzględnienie w szczególnej mierze tematyki ruchu robotniczego, który to rozdział historii Berlina był dotychczas poważnie zaniedbany. Obiecano także zwrócić specjalną uwagę na inne, niedoczniane dotąd należycie zagadnienie: udział, jaki w kształtowaniu oblicza miasta przypadł wielkim artystom i uczonym, którzy na przestrzeni wieków na dłużej lub choćby przelotnie bawili w „jego murach. Na koniec — obok szeregu tematów, trady-

cyjnie zaliczanych do „historii” miasta, jak wykopaliska archeologiczne, historia teatru, muzyki, sztuk plastycznych, ochrona zabytków itp. — zapowiedziano wprowadzenie tematów zaczerpniętych z życia społecznego, kształtującego się na naszych oczach Berlina, wychodząc ze słusznego bodaj założenia, że i te zjawiska są potencjalnie „historyczne”, jeśli zaś nie zostaną odrzucone, na gorąco pochwycone i utrwalone, jutro już, zepchnięte w przeszłość przez wartki strumień życia, mogą popaść w zapomnienie lub ulec wypaczeniu przez zawodną pamięć ludzką.

Retrospektywne spojrzenie na dotychczasowy dorobek pisma, które w br. rozpoczęło czwarty rok swego istnienia, pozwala stwierdzić, że naszkicowany wyżej program był dość ściśle realizowany. Kolejne numery kwartalnika przynosiły liczne, prze-

ważnie stosunkowo krótkie, ale utrzymane na poważnym poziomie, często-kroć o charakterze przyczynkarsko-naukowym artykuły obejmujące bogaty wachlarz zagadnień, związanych z przeszłością i teraźniejszością miasta w licznych przejawach jego życia.

Zgodnie z zapowiedzią dużo miejsca poświęca pismo historii ruchów rewolucyjnych, lewicowych partii politycznych i tajnych związków wolnościowych na terenie Berlina.

Spośród znanych postaci nie-berlińskich, związanych jednak w jakiś sposób z tym miastem, spotykamy relacje z berlińskiego okresu życia m. i. takich osobistości, jak Lessing, Marks, Liszt, bracia Grimm, Leibnitz, Józef Eichendorff, Engels. Na uwagę zasługuje relacja z pierwszego pobytu w Berlinie Franciszka Liszta. Ukazuje nam ona graniczące często ze śmiesznością ubóstwienie wielkiego pianisty,



Berliner Heimat

ZEITSCHRIFT
FÜR DIE
GÄSICHEN
BERLINER
NR. 04 1955



Do Redakcji naszej dotarł egzemplarz albumu wydanego w języku angielskim przez Fundację I. J. Paderewskiego w Nowym Jorku, a poświęconego malarstwu Michała Rekućkiego. Jak dowiadujemy się z krótkiego wstępu Rekućki urodził się w r. 1884 w Nowym Targu. Akademię Sztuk Plastycznych ukończył w Krakowie. Po wybuchu I wojny światowej znalazł

się na Syberii, gdzie spędził 7 lat. Następnie po krótkim pobycie w Polsce przeniósł się w r. 1924 do Stanów Zjednoczonych i przebywa tam do dnia dzisiejszego.

Niepodobieństwem jest kusić się o bliższe omówienie malarstwa Rekućkiego tylko na podstawie czarno-białych reprodukcji zawartych w albumie, tym bardziej nie ma mowy

OCEANU

o próbie oceny obiektywnych wartości dorobku malarza. Pragniemy tu jedynie zwrócić uwagę na najbardziej interesującą jak się wydaje część tego dorobku dotyczącą tematycznie Podhala i Podhalan. Jest to spora ilość pejzaży, portretów i scen z życia górali. Niektóre z nich powstały już w Ameryce. Te są najsłabsze. Malarz rozplywa się w symbolice śpiących rycerzy i Madonn pasących owieczki. Warto natomiast wyróżnić grupę portretów podhalańskich muzyków, kobziarzy i skrzypków z portretem m. in. Bartusia Obrochty. Wiele twarzy jest prawdziwie, żywo i z wyrazem namalowanych.

Autor dwujęzycznej przedmowy do albumu pisze: „Kiedyś marzył Rekućki aby być dla Tatr tym, czym był Segentini dla Alp — jednak przeznaczeniem wiedziony, czy jakimś fatum odrywany jest od swych ukochanych Tatr i ich ludu...” Nie jest naszą rzeczą zastanawiać się nad naturą owego fatum, natomiast wielka szkoda, że znakomitego w kompozycji ciekawie oświetlonego obrazka TATRA MOUN-



TAINS musimy doszukiwać się między olbrzymimi portretami SĘDZIEGO A. i PANI W., że w tłoku Amerykanów i zamerykanizowanych Polaków ginie świetny w nastroju KOŚCIÓŁ WIEJSKI, ROZTOPY, GOSPODA PRZYDROŻNA, a z tematyki niepolskiej ciekawe dwie NOCE SYBERYJSKIE, oraz kilka krajobrazów amerykańskich.

Nie wiemy jaki jest los obrazów Rekućkiego. Zapewne są rozproszone wśród prywatnych nabywców. Czy nie warto by pomyśleć o zinventaryzowaniu najwartościowszych „tatrzańskich” pozycji?

DOM Z MASSACHUSETTS

(Zdjęcie domu zawdzięczamy uprzejmości Wydziału Prasowego Ambasady Stanów Zjednoczonych A. P. w Warszawie)



Najdawniejsza architektura osiedli kolonistów amerykańskich powstawała pod wpływem wzorów, jakie przywieźli ci nowi przybysze ze swej europejskiej ojczyzny. Nic więc dziwnego że XVII-wieczne zabytki budownictwa w stanie Massachusetts noszą cechy stylu w jakim stawiano drewniane domy tego typu w ówczesnej Anglii. Tym nie mniej miejscowe warunki narzucały kolonistom pewne konieczne zmiany w sposobie budowania domów i tak wytwarzał się miejscowy styl „wczesnokolonialny”. Przykładem jego nowoangielskiej odmiany jest reprodukowany tu dom Johna Whipple z Ipswich w stanie Massachusetts. Zarówno staranne szalowanie deskami ścian, kryty gontem dach, małe okna jak i potężny, umieszczony centralnie komin wskazują, że dom stawiano z myślą o surowym klimacie Nowej Anglii. Dekoracyjnym natomiast akcentem w tej surowej bryle budowli są nadwieszania wyższych kondygnacji. I ten szczegół pochodzi z architektury ów-

czesnych osiedli angielskich. Tam jednak miał on pierwotnie cel czysto użytkowy — chodziło o zwiększenie kubatury górnych pięter.

Istnienie na terenie USA tak dawnych zabytków budownictwa drewnianego być może zdziwi wielu naszych czytelników; przywykliśmy bowiem traktować tę część Ameryki jako kraj nowoczesnej architektury i techniki. Tymczasem okazuje się iż posiada on zabytki drewniane jakich stosunkowo niewiele zachowało się do dziś w szeregu krajów europejskich, szczytujących się swą historią. W Polsce np. osiemnastowieczne drewniane chałupy są niesłychaną rzadkością. Ale musimy pamiętać i o tym, że na obszarach wschodnich Stanów Zjednoczonych nie toczono tak uporczywych i niszczycielskich wojen jak te, które zrujnowały wsie i miasteczka Europy środkowej. Toteż drewniane domki pierwszych amerykańskich pionierów stoją sobie do dziś wśród zielonych wzgórz Nowej Anglii.

(L)

zwłaszcza w sferach dam berlińskich, widziane przez pryzmat współczesnej satyry. W ogóle satyra i dowcip berliński, którym mieszkańcy stolicy Niemiec słyną w swym kraju, z którego są dumni i który chętnie porównują z francuskim „esprit”, stanowią rodzaj kącika literackiego pisma. Szczególną pozycję posiada tu pod tym względem „klasyk berlińskiego humoru”, Adolf Glassbrenner.

Wśród prac, poświęconych dawnym zwyczajom berlińskim, znajdujemy interesujący opis kampanii, jaką władze miejskie toczyły przez długi czas przeciwko pewnemu rozpowszechnionemu jeszcze w połowie ub. stulecia zwyczajowi. Polegał on na tym, że w dniu Nowego Roku czeladnicy i uczniowie rzemieślnicy, ubogie wdowy, inwalidzi, mieszkańcy domów starców itp. biedota odwiedzała bogatsze domy mieszczańskie, składając życzenia noworoczne i po-

bierając w zamian datki w pieniądzu i naturze.

W dziedzinie historii życia społecznego i kulturalnego pismo przyniosło m. in. monografię największej biblioteki niemieckiej „Deutsche Staatsbibliothek” (obecnie częściowo rozproszona), berlińskiego złotnictwa, mennicy berlińskiej i pierwszego „ludowego” teatru Berlina („Rose-Theater”). Sporo uwagi poświęcono takim urządzeniom komunalnym, jak kolej podziemna, kanalizacja, system kanałów. Mamy też kilka artykułów, zajmujących się rozwojem osadnictwa na terenie dzisiejszego Berlina i historią poszczególnych dzielnic miasta.

Stosunkowo mało miejsca w dotychczasowych rocznikach poświęcono ciekawszym wydarzeniom w historii miasta i zabytkom sztuki. Przyczyną tego jest może fakt, że bombardowania ostatniej wojny niemal

doszczętnie ogołociły Berlin z zabytków, przede wszystkim architektonicznych (Brama Brandenburska jest jednym z nielicznych obiektów zabytkowych, jakie — zresztą w stanie silnie uszkodzonym — przetrwały wojnę), jakkolwiek z drugiej strony ten sam fakt kazałby oczekiwać właśnie szczególnego pietyzmu dla pomników kultury narodowej, startych z powierzchni ziemi przez działania wojenne.

Wśród prowadzonych przez pismo stałych działów widzimy takie rubryki, jak rodzaj „kalendarza berlińskiego” — chronologiczny spis ważniejszych wydarzeń historii miasta, genealogię nazw starych ulic berlińskich, kącik językowy, poświęcony współczesnej ewolucji języka mieszkańców Berlina (dział stosunkowo ubogi i nie występujący w każdym numerze) oraz omówienie nowych publikacji o tematyce berlińskiej. Każdy

numer pisma posiada ponadto oddzielną wkładkę, zawierającą jeden z dawnych planów lub widoków miasta wraz z opisem.

Jeśli chodzi o sposób traktowania poruszanych tematów, to czytelnika polskiego uderza korzystnie zmiana w stosunku do tonu dużego odłamu przedwojennej, szowinistycznie nastawionej nauki niemieckiej w przedmiocie relikwów słowiańskich na terenie dzisiejszego Berlina. Zagadnienia te, pojawiające się na łamach kwartalnika w związku ze znaleziskami archeologicznymi i etymologią nazw miejscowych, są omawiane z naukową rzetelnością.

Szata zewnętrzna pisma, w porównaniu z szeregiem innych luksusowych wydawnictw niemieckich, jest wyjątkowo skromna.

JULIUSZ ZYCHOWICZ

W numerze 10/57 waszego miesięcznika ukazał się interesujący artykuł Heleny Burchard pt. „Podbój Sybiru”, opracowany na podstawie materiałów nadesłanych przez Muzeum Krajoznawcze w Błagowieszczeniu. Podaje on ciekawą wiadomość, że wezwanie cesarza chińskiego (wystosowane do pozostałych w służbie rosyjskiej Kozaków) było napisane w języku polskim, niestety bez bliższych wyjaśnień. Szczegółem, który niewątpliwie zainteresuje szerokie rzesze czytelników

„Ziemi” jest to, że wcześniejszym adresatem polskich listów chińskiego władcy był... Polak, władca miniaturowego państewka nad Amurem. Przy tym stolicą tego państewka był właśnie ów w artykule określony jako „tubylczy”, gródek Jaksy. A co najciekawsze, „Jaksa” to bynajmniej nie nazwa tubylcza. Została ona przywieziona z dalekiej Polski. Nadał ją Nicefor Jaxa-Czernichowski, założyciel i budowniczy gródka, od swego przydomka rodowego, który był równo-

ześnie herbem wielu rodzin szlacheckich w Polsce. Dzieje Nicefora Czernichowskiego przypomniał Wojciech Sulewski w artykule „Polak Chan Mądry” („Poznaj Świat” nr 8/56) podając przy okazji szereg źródeł polskich i rosyjskich. Jest o nim również wzmianka w dziele Jerzego Pertka „Polacy na szlakach morskich świata”, wydanym w końcu 1957 r., przez Gdańskie Tow. Naukowe.

Jarosław Koczorowski, Poznań

KRONIKA KRAJOZNAWCZA

Dwie Komisje

W roku 1954 powstały przy Gdańskim Zarządzie Okręgu PTTK: Komisja Krajoznawcza i Komisja Opieki nad Zabytkami. Jeszcze zresztą przed połączeniem obu towarzystw (PTK i PTT) istniały na terenie województwa gdańskiego komisje krajoznawcze.

Obecnie mimo stosunkowo szczupłego składu osobowego obie Komisje prowadzą działalność według obszernego programu. W pierwszym rzędzie należałoby tu wymienić badania terenowe, dokonywane na obszarze województwa i przylegających doń sąsiednich powiatów (Pasłęk, Susz, Morąg, Ostróda, Bytów, Słupsk, Miastko). Badania obejmują zabytki dawnego budownictwa, osobliwości przyrodnicze, ciekawostki regionalne. Ze zdjęć dokumentarnych, wykonanych w terenie Komisje tworzą własne archiwum. Inną, równie cenną inicjatywą jest nawiązanie kontaktów z miejscowymi amatorami badań krajoznawczych, werbowanie wśród nich społecznych opiekunów zabytków i zorganizowanie sieci korespondentów terenowych. Dzięki temu Komisje mogą walczyć o konserwatorowi przyrody, informując go o zagrożonych obiektach. Współpracując z Muzeum Pomorskim Komisje ewidencjonują zabytki kultury i pomniki przyrody, a ponadto prowadzą w terenie popularizatorską akcję odczytową i wydają w formie ulotek opracowania powiatów (dotychczas ukazały się opracowania dotyczące pow. Nowy Dwór, Malbork, Elbląg, Sztum, Tczew, Puck, Lębork, Pruszcz, i popularizatorskie opracowanie na temat samego miasta Elbląga). Nową pozycją wydawniczą Komisji będzie opracowany obecnie zespolowo „Krajoznawczy Informator”. Informator ukazuje się w r. 1959 nakładem Wydawnictwa Morskiego, w objętości ok. 600 stron (w tym 19 mapek). „Układ wiadomości — jak pisze sekretarz obu Komisji, p. J. Wojnarski, któremu zawdzięczamy informacje o działalności tej komórki krajoznawczej Towarzystwa — ma przypominać raczej słownik lub leksykon, dane historyczne będą podane w chronologicznych zestawieniach”.

U Kolebki Słazan

to nazwa odznaki krajoznawczej jaką zamierza wprowadzić Komenda Dolnośląskiej Chorągwi ZHP we Wrocławiu. Projekt regulaminu odznaki opublikowano już w zeszłorocznym, listopadowym numerze wrocławskiego Biuletynu Harcerskiej Służby Informacyjnej. Odznaka związana jest z pasmem gór Sobótki, górą Anielską, Kościuszki, Radunią, wzgórzami Kielczyńskimi i Oleckimi. Regulamin przewiduje prowadzenie w czasie wędrowki dzienniczka, wykonywanie rysunków i fotografii. Ubiegający się o odznakę „U kolebki Słazan” winni wykazać znajomość literatury dotyczącej tego regionu, a także znać zasady ochrony przyrody. Wrocławską Komendę Chorągwi nosi się również z zamiarem wydania przewodnika krajoznawczego i opraco-

wuje trasę „Szlakiem zamków piastowskich”, kładąc w niej nacisk na zwiedzanie zabytków polskości na Dolnym Śląsku.

Rezolucja Nowej Huty

IV Walny Zjazd Oddziału PTTK w Nowej Hucie powziął rezolucję w której zebrani domagają się kategorycznie zaprzestania budowy luksusowych hoteli górskich kosztem wielu milionów złotych, oraz przeznaczenia odpowiednich kwot na istniejące zaniedbane schroniska.

Walny Zjazd żąda również wprowadzenia zakazu sprzedaży napojów alkoholowych w Domach Turysty oraz w schroniskach podległych PTTK.

Muzeum w wiejskiej izbie

O wiejskim zbieraczu amatorze pisze nam p. Stefan Książek z Miechowa. 74-letni Julian Piwowarski, rolnik ze Strzeżowa od kilkunastu lat pełni funkcje opiekuna i kustosa miechowskiego muzeum regionalnego. Niezależnie od tego już od roku 1924 gromadzi on u siebie w domu eksponaty archeologiczne, numizmatyczne, przyrodnicze, a także stare dokumenty i dawną broń. Julian Piwowarski jest znanym działaczem regionalnym — pisał kronikę Ziemi Miechowskiej, dwukrotnie piastował urząd burmistrza Miechowa, a wreszcie w okresie międzywojennym był redaktorem i wydawcą wychodzącego w tym mieście czasopisma „Sad i pasieka”.

Dar archeologa amatora

Znany w okolicy Miechowa poeta ludowy i zbieracz okazów dawnej kultury 71-letni Franciszek Kuler, bibliotekarz w Sławicach, przekazał w darze muzeum regionalnemu w Miechowie siekiere z kamienia gładzonego — wagi ok. 1 kg, 1 młotek czarny z kamienia, ostrze toporka kamiennego, buławkę okrągłą z epoki kamiennej — znalezione na terenie wsi Sławice i Parkoszowice powiatu miechowskiego w 1925 roku. S. K.

Muzeum Morskie

Przy Zarządzie Wojewódzkim Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Gdańsku utworzono Koło Przyjaciół Muzeum Morskiego w Gdańsku. Muzeum morskiego w Polsce właściwie nie ma (tylko w Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie jest dział morski). Koło ma więc na celu propagandę idei założenia takiego muzeum i zainteresowanie tą sprawą odpowiednich czynników mogących imprezę sfinansować i poprowadzić. Proponuje się, aby Muzeum Morskie w Gdańsku umieścić w dotychczas niewykorzystanym sławnym Dworze Artusa. (Z. B.)



ALOJZY CZARNECKI

Jubileusz 50-lecia pracy zawodowej obchodził ostatnio znany toruński fotografik, Alojzy Czarniecki. Zawód fotografa przechodził w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie. Trudnili się nim i dziad i ojciec i bracia Alojzego. On sam pierwsze zasady fotografowania poznawał jako szesnastoletni chłopak w ojcowskim zakładzie w Poznaniu. W Toruniu mieszka Czarniecki od roku 1934. Od 24 lat utrwała na fotografiach dzieje tego miasta, jego zabytki i malownicze zaułki. Przeglądając zbiory jego zdjęć widzimy stare toruńskie mury, wstępujemy w mroczne wnętrza gotyckich kościołów, kryjące dzieła dawnej snycerki. Na innych fotografiach Czarnieckiego odżywa Toruń z niedalekiej przeszłości. Pierwsze chwile po opuszczeniu miasta przez okupantów, otwarcie uniwersytetu...

Alojzy Czarniecki poświęcił Toruniowi swe umiejętności, utrwalając na błonie fotograficznej wizję swego miasta. (lex)

KONKURS

15 września 1958 upływa termin KONKURSU FOTOGRAFII TURYSTYCZNEJ I KRAJOZNAWCZEJ dla Pracowników Zakładów H. Cegielskiego w Poznaniu.

W konkursie może brać udział pracownik HCP oraz członek PTTK-HCP z wyjątkiem fotografów zawodowych i członków Z. P. A. F.

Uwzględniane będą zdjęcia wykonane po roku 1945 na terenie Polski, dotychczas nienagradzane i niepublikowane. Format zdjęć konkursowych: od 18 x 24 do 30 x 40 cm i od 18 x 18 do 30 x 30 cm w technice dowolnej. Jeden autor może nadesłać 10 prac.



Na zdjęciu u góry: stalle gotyckie w kościele N. M. Panny w Toruniu. U dołu: Toruń od strony Kępy Bazarowej. Fot. A. Czarniecki.





Tablica na domu „pod Węgrzynem”, jedna z najlepiej do dziś przechowanych. Przedstawia postać w stroju węgierskiego pasterza.

Wszystko tu trąci dziewiętnastym wiekiem. Sztuczna grotka z pamiątkową tablicą w parku na „Miedziusiu”, drewniane wille, domki z ozdobnymi jakby laubzegą wyrzniętymi balkonami i wiszące na nich malowane godła, takie jak je widział w ubiegłym stuleciu Walery Elias.

„...najprzód przejeżdża się Niżnią Szczawnicę, ulicą gęsto zabudowaną z dwóch stron małymi domkami” — pisze autor przewodnika „do Tatr, Pienin i Szczawnicy”, dodając że „dla odróżnienia na każdym domu nad bramą wisi tablica z namalowanym i wypisanym godłem”.

Odcięcie od szlaków komunikacyjnych sprawia, że po dziś dzień Szczawnica nosi piętno dziewiętnastowiecznego uzdrowiska. Za wyjątkiem paru nowszych budynków dotrwała taką jak ją postawił niegdyś Józef Szalay. Malowanych tablic zachowało się już dziś niestety bardzo niewiele. Spotykamy je przede wszystkim przy ul. Szalay'a, a także przy ul. Głównej. Są to prostokątne deszczułki przeważnie o rozmiarach 47 X 60 cm na których niezwykle

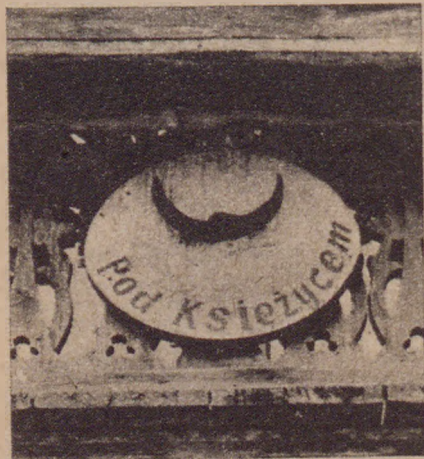
trwałym gatunkiem farby olejnej wymalowano godła poszczególnych domów, opatrując każde z nich odpowiednim napisem. Tabliczki wiszą na zewnętrznych ścianach skromnych drewnianych domków. Godła są rozmaite: Pod Góralem, Pod Węgrzynem, Pod Aniołkiem, Pod Dzwonem, Pod Księżycem, Pod Wilkiem, Pod Zającem itd. Kto i w jakim celu wykonał te tabliczki?

Z końcem pierwszej połowy XIX wieku następuje szybki rozwój Szczawnicy. Do pienińskiego uzdrowiska przybywa coraz więcej gości. Jego właściciel, Józef Szalay, nie może już ich wszystkich pomieścić w swych okazałych willach. Kieruje tedy przybyszów do domków miejscowych górali. Jak jednak sprawić by nie znający Szczawnicy letnik trafił do właściwego domu skoro w osiedlu mieszka wiele rodzin o tych samych nazwiskach? Przy takiej np. ulicy Głównej prawie na całej jej długości usadowili się sami Zachwieje i Węglarze. Co gorsza, kilkunastu z nich nosi te same imiona! I wtedy Szalay wpada na pomysł oznaczenia góralskich domków malowidłami. Tablice malował sam, co nietrudno poznać zarówno po rysunku jak i kroju liter. Niekiedy ponoć celowo dobierał odpowiednie symbole jako aluzje do usposobienia mieszkańców domku. I tak np. na ul. Głównej mamy domki „Pod Wężem” i „Pod Smokiem”, z których właścicielami toczył spory.

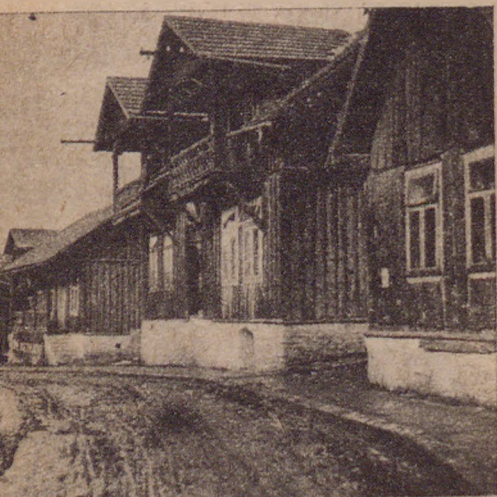
Po śmierci Szalay'a zwyczaj malowania godła domów utrzymywał się nadal. Wykonywali je przygodni malarze, a niektóre z nich do dziś żyjący tu malarz szyldów Zapletal.

Malowanie godła pociągnęło za sobą bardzo ciekawe następstwa. Wśród tak popularnych u górali przydomków rodzin, nawiązujących do szczegółów zawodowych czy topograficznych pojawiają się u mieszkańców Szczawnicy przydomki związane z godłami domów. Toteż w domu „Pod Kogutkiem” mieszkał Majerczak „Kogutek”, a w domu „Pod Zającem” — Majerczak „Zajączek”. Węglarz „Capek” pochodzi z domu „Pod Capem”, „Sowa” z domu „Pod Sową” itd.

Szczawnickie godła — mimo iż malowano je trwałą farbą — są już dziś bardzo zniszczone. Nic dziwnego, od przeszło 100 lat wiszą na frontowych ścianach domów. Na deszczu i mrozie farba łuszczy się i odpada. Może więc szczawnicki oddział Towarzystwa Miłośników Sztuki Góralskiej zajmie się konserwacją i ochroną tych pamiątek dziewiętnastowiecznego uzdrowiska?



Powyżej: jedyna tablica z godłem o kształcie owalnym. Dom na rogu ulic Głównej i Zdrojowej. U dołu: Ulica Szalay'a w Szczawnicy. Dom z dwoma balkonami nosi godło „pod Wilkiem”, dalej dom „pod Zającem”, następny — „pod Konikiem”.



MALOWANE GODŁA

TEKST I ZDJĘCIA ZBIGNIEW DANIELAK

Rysunek i krój liter podpisu dowodzą że autorem godła „pod Aniołkiem” nie był już twórca takich godeł jak np. domu „pod Węgrzynem”.



Ta tablica może być przykładem niszczenia godeł przez przybijanie na nich tabliczek towarzystw ubezpieczeniowych i numerów.



Jedna z ostatnich tablic przy ul. Głównej.



Z popękanym błotem spotykamy się bardzo często. Zawsze tworzy się w wysychających jeziorkach glinianek, na brzegach rzek, a czasem nawet na zwykłych drogach polnych. Formy te poznano dość dawno nie tylko na powierzchni ziemi, ale nawet w osadach kopalnych. Są to zawsze różnokątne poligony o bardzo różnej wielkości. Np. na pustyni Atakama w Chile dochodzą one do 1 m² a nie rzadko są i większe. Spękane błoto spotykane u nas nie przekracza z reguły rozmiarów kilkunastymetrowych.

Czy w związku z tym że są to tak małe i tak pospolite formy, warto im poświęcać uwagę? Z pewnością tak, gdyż te, które tu przedstawiamy wprowadzają do wiedzy o procesie pęknięcia błota coś nowego.

Oto w niedużym i na pozór zupełnie spokojnym zbiorniczku wody, niewielkie prądy porywają muł w pewnych partiach dna i przenoszą go w postaci bardzo drobnej zawiesiny do partii innych, niższych. Proces ten powtarza się wiele razy. W rezultacie na dnie zbiornika powstaje cały szereg cienkich warstewek mułastych. Z biegiem czasu wskutek parowania zbiornik sypczy się a tym samym zamiera działalność prądów. Później woda wysycha zupełnie, a na dnie zbiorniczka pozostaje tylko plastyczny, silnie namoczony muł. W miarę dalszego wysychania muł staje się bardziej spoisty. Wewnątrz osadów zjawiają się tzw. siły kohezji, które przeciwstawiają się wszelkim siłom zewnętrznym, a w tym przede wszystkim suszącemu działaniu promieni słonecznych. (Kohezją nazywamy opór skał stawiany siłom zewnętrznym wskutek wzajemnego przyciągania się cząsteczek gruntu i sił adhezji błonek wody). Temperatura otoczenia powoli jednak zwycięża kohezję, przy tym partie po-

SPEKANE

ZBIGNIEW WÓJCIK

FOTOGRAFIE

MARII KLEIBEROWEJ



BŁOTO



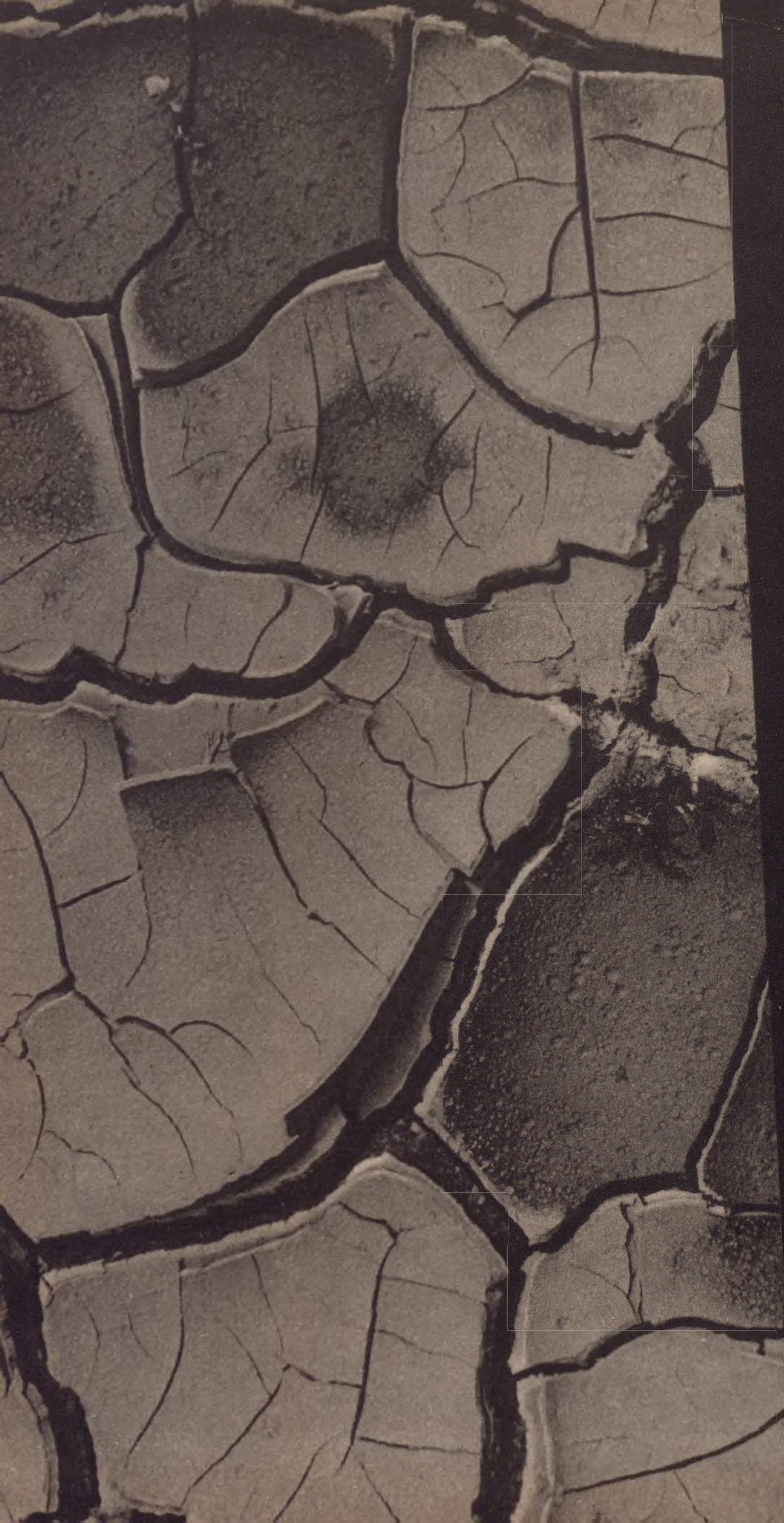
siadające nieco piasku, czy jakiegokolwiek zanieczyszczenia (np. słomka, włos itp.) posiadają kohezję znacznie mniejszą. W nich właśnie powstają pierwsze pęknięcia.

Dalsze rozrastanie się szczelin doprowadzi stopniowo do tego, że poszczególne pęknięcia przetną się dając w sumie powierzchnię usianą poligonami. Będą to poligony główne. Ponieważ powstają one w pierwszym etapie wysychania błota nazywamy je poligonami pierwszego rzędu.

W miarę dalszego wysychania błota partie o osłabionej kohezji wewnątrz samych poligonów ulegają ponownemu spękaniu. Rezultatem tego będzie szereg mniejszych poligonów. Ponieważ uzupełniają one poligony główne nazywamy je poligonami podrzędnymi lub poligonami drugiego rzędu.

To jednak nie wszystko. Promienie słońca atakują nadal i to przede wszystkim same poligony. Tu bowiem w partiach nie strzaskanych działają nadal siły kohezji. Skutek tego ataku jest jednak nieco odmienny od poprzednich. Pęknięcia, które obecnie powstają przypominają nieco żyłkowanie liścia. Być może ich rozwój doprowadziłby wreszcie do powstania bardziej podrzędnych poligonów, gdyby nie to, że w różnych warstewkach kohezja jest różna. W związku z tym warstewki powierzchniowe zaczynają się powoli oddzielać od podłoża, tworząc tzw. folie. Folie te będą zawijały się w rurczki. Z reguły folie nie ulegają drobniejszemu spękaniu. Natomiast promienie słoneczne atakują świeżo odsłonięte warstewki dolne. Te już nie tworzą folii. Występująca na nich sieć spękań poligonalnych jest również uboga.

To jednak nie koniec. Zwróćmy uwagę na szereg oryginalnych jamek na powierzchni wyschniętego błota. Jamki te dochodzą niejednokrotnie do 5 mm średnicy i 2 mm głębokości. Zwykle uważa się je za ślady kropeł deszczu. Jednak nie zawsze jest to słuszne. Zmieniając się wskutek wysychania układy sił kohezji powodują niejednokrotnie poważne przemieszczenia wewnętrzne w muł. Działające tu tzw. procesy soliflukcji powodują „przepłynięcie” mułu ze strefy najbardziej zewnętrznej w głąb.



SPEKANE BŁOTO
ARTYKUŁ
PATRZ
STRONA 31
FOT.
MARIA
KLEIBEROWA